

ŁUKASZ MALINOWSKI

# SKALD

PASTERZ  
PIEŚNI

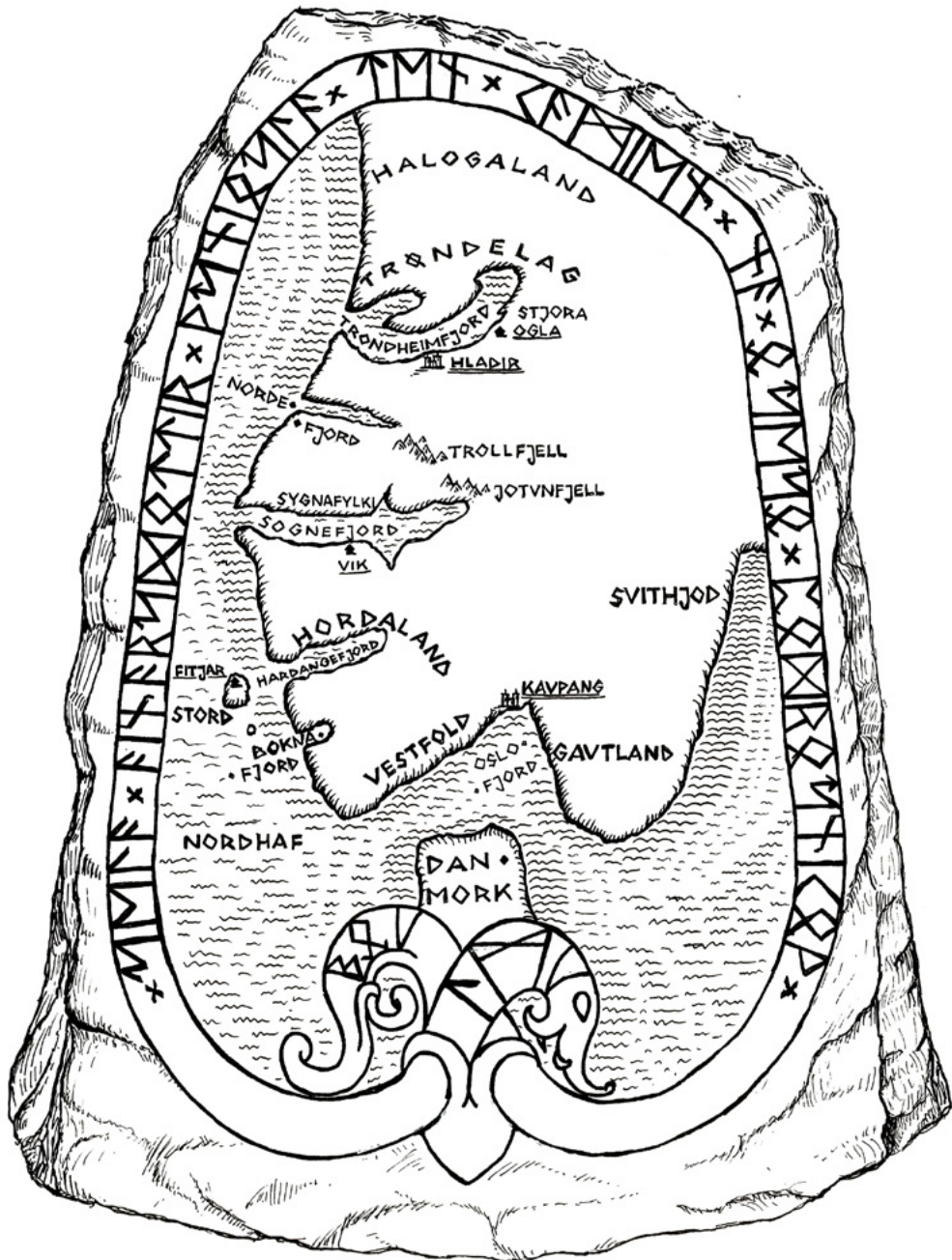


ŁUKASZ MALINOWSKI

# PASTERZ PIEŚNI

SKAŁD





KAMIEŃ Z VIK ODNALAZONY WYOBRAZNIĄ AUTORA  
„SELA ANARSDOTTIR WZNIOSA TEN KAMIEŃ NA CZĘŚĆ PODRÓŻNIKÓW”



midjardor hat

Diggpatoz

Zahil

MAPA WAGADOOU  
PIÓREM MAADIEÇO  
NAKREŚLONA

Lucerna  
wanland

Hörraland

magrib

ziskmaza

taghaza

awlaghust

walata

Zahil

Kussoi joleh

Zneonny  
Gida

Gida  
Kotox

Moore

# OPOWIEŚĆ PASTERZA

Noreg, roku Pańskiego 1107

Niewidomy starzec zmierzał ku stromemu brzegowi fiordu, badając drogę grubym kosturem. Zmęczony był życiem, przygarbiony, ale krok miał pewny i prawie nie ślizgał się na mokrej trawie. W końcu laga trafiła w pustkę i mężczyzna zatrzymał się tuż nad przepaścią. Jeszcze krok, a starym zwyczajem Północy roztrzaskałby się na skałach i trafił do Gmaszyska Zarzniętych. Albo i nie, ponieważ jego zdaniem do halli poległych wojowników nie wpuszczali starych głupców, którzy sami sobie odebrali życie. Nie skoczył więc, tylko nabrał głęboko powietrza i wchłonął zapach morza. I już wiedział, że zimowe sztormy dobiegały końca.

Tyle razy wyczekiwał dnia rozpoczęcia sezonu wypraw, że nauczył się bezbłędnie rozpoznawać jego nadejście. Młodzi nie pytali go już jednak o zdanie, bowiem w tych czasach sami wszystko wiedzieli lepiej, a przynajmniej tak im się wydawało. Wczoraj w katedrze w Nidaros odprawiono mszę w intencji obłaskawienia morza. Uczestniczył w niej konung Sigurd razem ze swoimi drużynnikami. Świątynia, której budowę rozpoczęto kilka lat temu, nie miała jeszcze dachu i wciąż daleka była od ukończenia, kiedy więc w połowie uroczystości zaczęło padać, wszystkich porządnie zmoczyło i przekonało modlący się tłum, że niebiosa jeszcze przez kilka dni będą się burzyć. W Nidaros nadal żyli jednak ofiarnicy starych bogów, którzy wciąż wierzyli w dawne sposoby przewidywania pogody, wysłali zatem posłańców do mieszkającej w skalnej grocie seidkony. Starowinka rzuciła wronimi kośćmi, przykryła się bydłącą skórą, zapadła w drzemkę, wstała i oznajmiła, że w transie odwiedziła trolle władające wiatrem i poprosiła je, aby przestały dmuchać na początku przyszłego tygodnia.

Niewidomy mężczyzna wiedział o tych wszystkich zdarzeniach, mimo iż żadnego z nich nie był świadkiem. Znał za to wywiadow-

ców, którzy o wszystkim mu donosili. Pomyślał, że teraz też pewnie czekają już w jego domu, odwrócił się więc od urwiska i ruszył w drogę powrotną.

Mieszkał na uboczu, nad jeziorkiem, w miejscu tak pięknym, że zapierało dech w piersiach. Na kwiecistej łące stała chata z bali, przy pomocy kołysała się niewielka łódka, a dookoła rozpościerały się lasy. Ślepego widok jednak nie cieszy, co innego zapach. Okolice wolna była od smrodu miast i grodów, co więcej urzekała wonią świerków, którą wciągało się razem z mroźnym powietrzem. Tak oddychało się tylko na Północy. Zazwyczaj panowała tu błoga cisza, chociaż nie teraz. Gdy tylko mężczyzna zbliżył się do swego domu, przywitały go nieznośne krzyki kilkorga dzieciaków.

– Dziadku, dziadku, gdzie byłeś?

– To ty, Ingigerdo? – zapytał, tarmosząc dziewczynce włosy. – Badałem, czy wciąż potrafisz odnaleźć drogę do Valhalli.

– Znowu byłeś nad urwiskiem? Mama mówi, że w końcu się poślisz i spadniesz.

– Nad większymi przepaściami się przechadzałem.

– A mój tatko mówi, że to bałwochwalstwo jest – wtrącił chłopięcy głos. – I zabrania mi bawić się w drengów i walkirie.

– Oj, Ulfie, nie słuchaj tego przemądrzałego capa. Prawdziwy dreng zawsze chętnie pobawi się z walkirią.

– Co to znaczy?

– No, że dzielny mężczyzna po równo rozdaje śmierć, jak i życie.

– Ja niedługo zostanę rycerzem jak mój tata. I też wyruszę na pielgrzymkę, by nieść śmierć i pożogę Serklandczykom.

– Tak będzie, Ulfie. W twym rodzcie płynie gorąca krew, której nie da się wystudzić wodą święconą.

– A mój tata mówi, że woda ugasi wszystko z wyjątkiem pragnienia prawdziwego mężczyzny – odezwał się kolejny chłopiec.

– Ojciec Magnusa, dla odmiany, to człek mądry. Przynieśliście mi piwa?

– Nie było łatwo je ukraść, ale się udało. Mam dla ciebie cały dzban, dziadku.

– Dobry z ciebie wnuczek. Pozwólcie, że sobie spocznę tu, na mej ławeczce. Gdzie ona?

Starzec wyciągnął łagę, aby zbadać teren, ale nie było to potrzebne, gdyż jedna z dziewczynek wzięła go za rękę i zaprowadziła na miejsce. Ślepiec usiadł, wziął do rąk gliniany dzban i łapczywie opróżnił go do połowy. Potem obtarł rękawem usta i wyciągnął naczynie przed siebie.

– Możecie skosztować. Tylko nie skarżcie rodzicom.

Dzban opuścił ręce starca, ale po chwili do nich wrócił, niewiele lżejszy.

– A teraz powiedzcie mi, co dzieje się w mieście.

– Nic nowego – zaczęła Ingigerda. – Wszyscy wyczekują poprawy pogody, choć po wczorajszej mszy przygotowania do wyprawy trochę zwolniły.

– Mój tata odebrał od kowala nową kolczugę. Wiecie, jak ona lśni?

– Wiemy! – odpowiedział dziecięcy chór. – Już sto razy nam mówiłeś!

– Dziś nasza krowa zachorowała i dała mało mleka.

– A mój stryj złapał taaakiego łososia. – Chłopiec rozłożył ręce tak szeroko, jak tylko zdołał. – Normalnie większego ode mnie!

– A moja mama, która gotuje w halli konunga Sigurda, powiedziała, że strasznie pokłócił się dziś w nocy z bratem. Wykrzyczał nawet, że woli zostać najemnikiem gardskonunga w Miklagardzie, niż współrządzić ojczyznę z własnym bratem. Ale później napili się miodu i wyściskali.

– Co za czasy. – Starzec cmoknął i podrapał się po nosie. – Dawniej było nie do pomyślenia, żeby dwaj konungowie rządili Noregiem. Już dawno któryś z nich powinien sięgnąć po miecz. Jeden władca jest lepszy dla kraju niż dwóch. Nic to. Dziękuję za te ważne wieści, a teraz już idźcie. Chcę trochę odpocząć w słońcu.

Starzec oparł się o ścianę domu, wyciągnął nogi i siorbnął piwa. Uśmiechnął się nieznacznie, bo nadal słyszał oddechy dzieciaków i potrafił sobie wyobrazić ich zniecierpliwione twarze.

– I co? Nadal tu jesteście. Zmykajcie prędko.

– Dziadku?

– Co znowu?

– Obiecałeś nam wczoraj, że jeśli przyniesiemy ci piwa i garść wieści z miasta, to odwdzięczysz się opowieścią.

– Ale przecież zbliża się wielka wyprawa. Konung Sigurd pielgrzymuje do Jorsaliru, a wraz z nim wyruszają ojcowie oraz stryjowie większości z was. Musicie się pożegnać i pomóc w pakowaniu. A poza tym

krowy trzeba wydoić, torfu naciąć, ryby oporządzić, pranie zrobić, nie wspominając o tkaniu czy gotowaniu.

– Wolimy być z tobą.

– Czyżbyście się migali od pracy jak prawdziwi węgłozercy?

– Przecie sam mówiłeś, że z opowieści jest wielki pożytek.

– Na pewno dla opowiadacza, bo piwa za darmo napić się może.

– Ale i dla słuchacza, bo kto oddaje się rozrywce, nie myśli o rzeczach podłych. To twoje słowa, dziadku.

– Ha! Kupczycie nie gorzej niż sprzedawcy na serklandzkim targu.

Niech więc będzie po waszemu. O czym chcecie posłuchać?

– O przygodach Ainara Skalda!

– Tego łotra i pyszałka? Zły to przykład dla takich maluchów jak wy.

– Ja już jestem prawie duży i mama pozwala mi słuchać sag dla dorosłych!

– Mnie też!

– I mnie!

– Skoro tak, posłuchajcie historii, jak Ainar przechrzył dwóch jarłów, ukradł im skrzynię ze skarbami i uwiódł piękną Halfridę.

– To już słyszeliśmy.

– To może opowiem, jak Ainar spędził długie tygodnie w iryjskim klasztorze? Wbrew jego woli najęli go tam do wyjaśnienia zagadki tajemniczych zgonów, no i podołał temu oczywiście, a po drodze odnalazł córkę, o której istnieniu wcześniej nie wiedział. Spotkał tam jeszcze Brodira. To dopiero była pamiętliwa bestia, szukająca pomsty za śmierć swojego władcy, jarla Haralda.

– Znamy to.

– To może o wyprawie Ainara na Wschód? Ha! To był kawał przygody. Skald został zalotnikiem i szukał żony dla konunga Tirusa Wielkiego. Udał się po nią do legendarnego królestwa Odainsak. Po drodze spotkał straszliwych hamramirów, którzy narobili mu wiele kłopotów. A i poznał wtedy swojego najlepszego przyjaciela, Alego Czarnego Berserka.

– Też już było.

– Dobra u was pamięć, pewno miodu z ojcowskiego rogu podpiciecie, bo on najlepszy jest na umysł. Każdy to wie. W takim razie pora na wyprawę do Miklagardu! Skald popłynął tam, aby złupić złote miasto, a został najemnikiem samego gardskonunga. Potem walczył z kus-



sarami i zdobył złoto Krety! Ale w owym czasie spotkało go też wiele przykrości. Prowadził wojnę z własną córką. Sela... imię pełne goryczy. Wspaniała to była tarczowniczką, a przy tym pieśniarka dorównująca umiejętnościom swemu ojcu. Przeklęte norny tak wyszyły jednak na tkaninach ich życia, że ojcowski miecz spadł na pierworodną i strącił ją w morskie odmęty.

– No właśnie na tym ostatnio skończyłeś! Czy ona naprawdę zginęła?

– Pewnym jest, że to jedno przeklęte rąbnięcie złamało Skalda i na zawsze go zmieniło. Przez trzy lata się nie odzywał, nawet do swego przyjaciela Alego, z którym przez ten czas podróżował. Nazywano go wtedy Skaldem bez języka, albowiem jego narząd mowy stał się niczym kołek, twardy i nieruchomy, jakby wcale go nie było.

– Ale w końcu się przemógł. I co wtedy powiedział?

– Było to brzydkie słowo.

– A dalej? Co było dalej?!

– Strasznie mnie męczycie. A tak chciałem odwlec ten moment, bo trudno mi mówić o tych wydarzeniach... Macie jednak rację, że każda opowieść zasługuje na zakończenie, nawet gdyby miało być ponure i smutne. Wysłuchajcie więc sagi o śmierci Ainara Skalda.

# KSIĘGA I TYSIĄC DNI MILCZENIA



# 1

Ostatni daktyl. Suszony, rozmiękczone, słodki. Stigandi żuł go wolno, smakując najdrobniejszą jego cząstkę, a gdy miąższ rozplynał się w ustach, ssał pestkę, przekładał ją spod jednego policzka pod drugi, otulał językiem i prowadził wzdłuż dziąseł. W końcu pestka nie miała już na sobie choćby drobiniki owocu, wypluł ją więc i położył sobie na kolanie. Siedział z podkurczonymi nogami, oparty o ścianę domu wzniesionego z solnych bloków. Przekłęta sól była wszechobecna w wiosce Taghaza. Wydobywano ją tu od stuleci, a mimo to jej pokłady, znajdujące się już kilka stóp pod powierzchnią piaszczystej ziemi, wydawały się ledwo nadwątlone. Aby pozyskać „złoto pustyni”, wystarczyło wykopać dół, poczekać na porę deszczową, podczas której zbiornik napełniał się wodą, a potem przyglądać się, jak podczas suszy woda znika, pozostawiając białe grudy soli. Ale to za długo trwało, dlatego mieszkający tu górnicy kopali też rowy i drążyli tunele, pracowali kilofami, dłutami i młotkami, wydobywając spod ziemi wielkie kłocce soli, które następnie cięli na plastry, wiązali i przygotowywali do załadunku. Tysiąc takich paczek już czekało, ustawionych w rzędkie, na głównym placu osady, czyli na piaszczystej łasze bez choćby kępki trawy. Nikt ich jednak nie ładował, nie dokładał też nowych, albowiem wszyscy górnicy łącznie ze Stigandim kryli się w cieniu, czekając na ratunek bądź śmierć.

W osadzie nie było źródła wody i nic w niej nie rośło. W porze suchej mieszkańcy zdawali się na dostawy zaopatrzenia. Spodziewano się karawany w poprzednim tygodniu, ale zamiast niej nadeszła burza piaskowa. Górnicy mówili, że przy takiej niepogodzie każdy statek zgubi drogę, zostanie pożarty przez słońce i utonie w morzu piasku. Chodziło im oczywiście o dromadery, czyli wielbłądy, które potrafiły przez wiele dni żeglować po wydmach bez choćby kropli wody w pyskach.

Stigandi popił daktyla ostatnim łykiem wody z bukłaka. Mijały chwile i dnie całe, a mężczyzna siedział beczynn timer, oszczędzając siły. Chociaż pochodził z dalekiej Północy, nosił się jak tutejszy. Długa,

cienka suknia przypominała podarty łach, turban chronił głowę, a płócienny *litham* zakrywał usta i nos. Początkowo drzemał, ale później głód i pragnienie stały się tak wielkie, że nie był w stanie zmrużyć oka nawet w nocy, kiedy wraz z innymi krył się przed chłodem wewnątrz domu, przykryty wielbłądzą skórą. Jego jasna skóra pociemniała i wyschła, wargi spuchły i popękały, a ciało zaczęło przypominać worek kości. W gardle miał pustynię, dusiło go od kaszlu i próbował wmówić swojemu pęcherzowi, że jest pełny, bo te kilka kropel moczu pozwoliłoby choć na moment oszukać pragnienie.

Ratunek, choć tylko chwilowy, nadszedł ze wschodu. Dostrzeżono samotnego wielbłąda wałęsającego się po pustyni. Górnicy złapali zwierzę, przyprowadzili do osady, poderżnęli mu gardło i zebrali krew do misy, a potem rozpruli brzuch dromadera, docierając do zgromadzonego tam zapasu wody. Nie było jej dużo, starczyło ledwo po trzy łyki dla każdego i napełnienie niewielkiego bukłaka, który dał im nadzieję na przetrwanie jutra. Wzmocnieni tym niespodziewanym darem Proroka, Boga, a może jakiegoś dżina wzięli się za oprawianie mięsa. Mieszkańcy Taghazy pochodzili z ludu Sanhaja, a dokładniej z klanu Juddala, i świetnie sobie radzili w pustynnych warunkach. Chwycili za noże, zdjęli skórę z wielbłąda, pocięli mięso na wąskie paski, obficie je zasolili i rozłożyli na nagrzanym słońcem gładzie. Suszyło się przez dwa dni. Jeden z górników nie chciał czekać tak długo. Zjadł wydzieloną mu porcję już wieczorem pierwszego dnia, za co srogo zapłacił, bowiem nazajutrz o świcie ostro wymiotował, a po południu zmarł. Dla pewności Stigandi czekał więc z jedzeniem o jeden dzień dłużej od pozostałych, zresztą mięso i tak nie przyniosło mu wielkiej ulgi, ponieważ jego słony smak wzmagał pragnienie.

Woda szybko się skończyła i osada ponownie zastygła w bezruchu. Stigandi tkwił na swoim miejscu, oparty o ścianę domu, i żuł mięso, aby pobudzić te skromne zapasy śliny, jakie mu jeszcze zostały. Świat rozmywał się przed oczyma, pustynia stawała się plamą żółci opasaną od góry błękitem. Kruki od lat ciągnęły za przybyszem z Północy, ale do tej pory go nie dogoniły, zbyt szybko gnał, podróżując z kraju do kraju i zajmując uwagę ścierwojadów zwłokami swych wrogów. Teraz jednak nie miał zamiaru się nigdzie ruszać, gdyby więc śmierć przysłała po niego swych posłańców, z ulgą wsłuchałby się w szum ich skrzydeł i kłapanie dziobów wrywających ochłapy mięsa z jego ciała. I tak

już umarł, prawie trzy lata temu, grzebiąc ukochaną i żegnając córkę. Wyrzekł się wtedy złota, miecza i boskiego opiekuna, odrzucił imię, a nawet dar mowy, który niegdyś uważał za najcenniejszą umiejętność. Oddychał tylko dlatego, że bogini Hel, tej starej leniwej wiedźmie, nie chciało się fatygować z mroźnej Północy na to piaszczyste zadupie świata po taki bezwartościowy ochłap mięsa. Tak przynajmniej myślał, choć starał się nie myśleć wcale.

Rozgrzany piasek parzył mu stopy, a dziwny wąż z barwnym, rozłożonym kapturem wił się wśród kamieni obok niego, tańczył dla niego i syczał na niego, przypominając mu o węzowym języku, jaki sam miał kiedyś w ustach. Wspomnienia nawiedziły go ze zdwojoną siłą. W gniewie unosi Kvernbita, a ten gryzie, zgodnie ze swoją nazwą, i przecina miecz Seli, a potem ześlizguje się po jej głowie, ucina ucho, przebija koleczugę i kroi ciało. Dziewczyna wpada do morza. Stigandi jest na wyspie, chowa zamordowaną Zoe i stawia kamień ku pamięci żony i córki. Potem milknie i pozwala, aby norny założyły mu pętlę przeznaczenia na szyję i zrobiły z nim, co chciały. Wykonawcą ich woli okazał się Ali, który po utracie ręki przestał się gniewać i zaczął w pełni wykorzystywać możliwości swego umysłu. Poprowadził ich do al-Magrib, gdzie nie sięgała władza Miklagardu. Za złoto Krety kupił ładny, nadmorski pałac, gdzie spędzili kilka miesięcy, pijąc wino, śpiąc i hulając. To ostatnie robiły głównie Niegrrzeczne Niedźwiadki, bowiem Stigandi tylko siedział bezczynnie, natomiast Ali wziął się za pomnażanie dóbr. Nawiazywał kontakty z kupcami, podróżował, kłaniał się emirom, rozdawał podarunki i budował sieć handlową. Zajął się niewolnikami. Wysłał Niegrrzecznych Niedźwiadków po odbiór żywego towaru do Luceny w Spanlandzie, sam wyprawił się po eunuchów do Agyptosu, a potem sprzedawał niewolników w serklandzkich emiratach i nawet, przez pośredników, dostarczał ich do Miklagardu.

Delikatny podmuch wiatru przywołał Stigandiego do chwili obecnej. Gdzie podział się wąż? Uciekł albo i nie, bowiem jeden z górników podnosił właśnie nabite na nóż długie, wijące się cielsko i potrząsał nim przed jego oczyma. Czy to była jego hamingja? Opiekuńczy duch jego rodu miał przecież kształt żmii i towarzyszył mu od urodzenia. Czy jego szczęście wisiało właśnie na czyimś ostrzu, by zostać oskórowanym i pożartym przez kogoś obcego? Robotnik wzruszył ramionami i zagarnął garść piasku. Gorące ziarenka wolno przesypywały

mu się przez palce. Cień krawędzi dachu wyznaczał granicę między jasnością a mrokiem, ta pierwsza oznaczała śmierć w mękach, ten drugi dawał odrobinę wytchnienia. Co człowiek z Północy tu robił? Dlaczego miał popękana skórę, zdarte dłonie i piasek we włosach, ustach, nosie, uszach?

Zagłębił się w pustkę i ciszę, sięgając ku przeszłości. Jednoręki Ali dobrze sobie radził z pomnażaniem bogactw i wcale nie robił mu wyrzutów. Wręcz przeciwnie. Nie pozwolił osunąć się niememu pieśniarzowi w otchłań rozpacz, tylko drwił z przyjaciela, pobudzając go do działania, a czasem nawet siłą wciskał mu chleb i wino do ust. To Blamad wymyślił mu nowe imię: Stigandi, czyli – w mowie Północy – Wędrowiec. Opowiadał mu też o swoich bogach z Wagadou i o czarownikach, którzy wędrowali do krainy śmierci, po czym wracali silniejsi, i wmawiał mu te wszystkie kłamstwa, że życie to wędrówka, więc prawdziwy wojownik zawsze prze naprzód, bez względu na przeszkody, gdy utną mu stopę, to podpira się laską i idzie dalej, gdy urzną mu obie nogi, to wsiada na osła, gdy straci wierzchowca, to pełza do celu, a jeśli mu nawet ten cel ukradną, to krąży w kółko i szuka nowego, byle tylko nie stać w miejscu. Stigandi pozostał jednak wierny w zaprzeczaniu swemu nowemu imieniu, za to Ali nie potrafił znieść bezczynności. Odnosił sukces w handlu i stał się jednym z najbogatszych kupców Magribu. Wciąż pragnął jednak więcej i ciągnęło go ku domowi, zwłaszcza że doskonale wiedział, jakie bogactwa można czerpać z handlu z Wagadou. Problemem była tylko ta przekłeta pustynia, oddzielająca Kraj Czarnych Ludzi od terenów Serklandczyków. Nowego opanowanego Alego nic nie potrafiło jednak powstrzymać. W zeszłym roku kupił kilkadziesiąt dromaderów, najął przewodników i ruszył na południe, zabierając ze sobą Stigandiego. Ich celem była Taghaza. Dotarli do niej nie bez problemów, bowiem po drodze stracili trzecią część zwierząt i towaru, ale wyprawa okazała się wielce obiecująca. Czarnoskóry kupiec zdołał dogadać się z klanem Juddala, które kontrolowało tutejsze kopalnie soli. Przywódcy rodu obiecali mu przygotować ładunek, a także ochraniać przyszłoroczną karawanę. Ali zostawił na miejscu swoich ludzi, aby wszystkiego dopilnowali.

Stigandi wspominał dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał ukrytą w morzu piasków osadę, której mieszkańcy wykonywali prostą pracę: kopali, cięli solne bloki i nosili je, marząc tylko o wodzie i odpoczynku,

pomyślał więc, że może tu, w tej rutynie, odnajdzie odrobinę spokoju. Nikt go tu nie znał i nie cenił, a raczej uważano go za głupka i niemowę, co odpowiadało obrazowi, jaki sam namalował, dlatego po prostu siadł pod ścianą solnego domu i nie dał się ruszyć z miejsca, a kiedy Blamad prosił go i błagał, aby wsiadł na wielbłąda, bo pora już ruszać, niemowa tylko kręcił głową i pokazywał mu palec. Czarnoskóry wojownik w końcu się poddał, przytaknął, a wraz z nim „tak” powiedział łeb węża wytatuowany na jego głowie. Na pożegnanie obiecał jednak wrócić z karawaną za kilka miesięcy i zabrać przyjaciela do stolicy Wagadou.

Stigandi spędził owe kilka miesięcy w słonej osadzie. Początkowo śmiano się z jego dziwnego wyglądu, jasnych włosów i bladej skóry, szturchano go kijami, rzucano w niego pestkami i podkładano mu w nocy skorpiony pod koc, ale w końcu górnikom się to znudziło, bowiem mężczyzna z Północy nie okazywał im żadnej uwagi. Po prostu pracował, jadł, pił i spał. Skrył też swoją obcość za lokalnym strojem, a jego siła i wytrwałość zapewniła mu niewielką dozę szacunku. Uderzał kilofem, wsłuchując się w jego rytmiczne brzmienie, bił młotem w dłuto, a przede wszystkim nosił wielkie bloki i mniejsze, gotowe już do załadunku „solne deszczułki”, wiązał je i układał w rzędkach. Z czasem zaczęto go traktować jak zwykłego robotnika i zyskał sobie przywilej obojętności.

Pojawił się kolejny wąż. A może wciąż ukazywał mu się ten sam? Palące słońce oślepiało niemowę, a pragnienie mąciło mu wzrok. Gad przypominał żmiję z Północy. Wił się, syczał, ocierał o jego stopę, wtem nagle się sprężył, jakby zaraz chciał skoczyć i go ukąsić, nie zrobił tego jednak, lecz schował się między kamieniami. Coś go przestraszyło. Do wioski powrócił ruch. Górnicy podnieśli się z ziemi i z dłońmi ułożonymi w daszki wbili wzrok w punkt między dwoma wydymami, skąd wyłaniały się ludzkie kształty. Tylko Stigandi nie opuścił swego posterunku pod ścianą domu, dostrzegł więc przybyszów jako ostatni. Jechali na dromaderach, zupełnie się nie śpiesząc. Pustynne odzienie uniemożliwiało ich rozpoznanie, ale robotnicy i tak zaczęli im machać i wiwatować, uwiedzeni myślą o rychłym ocaleniu.

Umysł przypomniawszy wyrzutkowi z Północy smak świeżej wody i jaka to przyjemność, gdy deszcz z bukłaka gasi pożogę w ustach, ale Stigandi powstrzymał się od działania. Pomyślał, że to pewnie Ali.

Przyjaciel przecież obiecał, że po niego przyjedzie, a czarnoskóry wojownik zawsze dotrzymywał słowa. Banita nie powinien w niego wątpić. Wystarczyło tu tylko siedzieć i czekać, aż góra mięśni przysłoni mu słońce.

Coś było jednak nie tak. Gdy przybysze zbliżyli się do wioski, nagle przyspieszyli i dobyli saifów. Zakrzywione miecze zaślśniły w przedpołudniowym słońcu i opadły na dwóch górników, którzy wyszli na spotkanie karawany. Dlaczego Ali miałby zabijać górników z klanu Juddala? Robotnicy rzucili się do ucieczki. Niektórzy pochowali się w domach, inni pobiegli po broń i stanęli do walki. Zabrzęczały cięciwy, a po chwili rozległy się krzyki i szcęk żelaza.

Dawniej Stigandi lubił te odgłosy. Zdarzało mu się układać pieśni w rytmie wojny, w których roiło się od kruków, wilków i wymyślnych określeń mieczy. Wybujała i podniosła była jego sztuka, piękna w formie, ale kłamliwa w treści. Teraz inaczej się na to zapatrywał, w walce chodziło wyłącznie o śmierć, o jej zadawanie i jej unikanie, a nie o bohaterstwo, siedział więc tylko i patrzył.

Napastnicy siekli z góry, z wysokości dromaderów, nie dając wielkich szans tym spośród obrońców, którzy stawili im czoło w otwartym polu. Część wojowników Juddala skryła się między budynkami i stamtąd szyla z luków, dlatego przybysze w końcu zsiadli z wielbłądów i poszukali osłony. Walka przeniosła się między zabudowania, do ciasnych przesmyków i wydrążonych w podłożu korytarzy. Jeden z robotników chwycił się za rozcięty brzuch i poszedł do piachu, inny stracił głowę, najpierw w przerośni, albowiem zaczął uciekać, a potem dosłownie, nabiegając na saif wyłaniającego się z zaułku napastnika.

Obroncy też potrafili się odgryźć. Rosły górnik zablokował kilofem cięcie przeciwnika, wyrwał mu broń z ręki, kopnął go w kolano, chwycił za gardło, popchnął do tyłu i rozbił mu głowę o rząd solnych bloków, po czym szarpnął nim w górę i znów rzucił na kamienne płyty, a potem znowu, aż łeb przestał przypominać ludzki, a skąpany we krwi ładunek soli runął pod ciężarem ciała. Zwycięzca wyprostował się i zawołał triumfalnie na cześć Allaha, bóg nie przyjął jednak modłów, gdyż nadlatująca strzała przebiła mężczyźnie gardło. Dzielny górnik padł martwy, a jego miecz upadł nieopodal Stigandiego. Wystarczyło wstać i zrobić dwa kroki. Nie, nie trzeba było nawet wstawać, wystarczyło podpełznąć, aby poczuć chłodny dotyk stali kuszącej do



czynu. Milczek siedział jednak dalej, wpatrzony w swoje słabe, popękane i niezdolne do walki dłonie.

Potyczka dobiegała końca. Górnicy pragnący mężnie zginąć w walce otrzymali tę łaskę, reszta się poddała, na co napastnicy również przystali. Jeden z przybyszy podszedł do Stigandiego i przystawił mu miecz do gardła. Wyznaniec z Północy spojrzął na jeźdźca pustyni, ale nie potrafił powiedzieć o nim nic więcej ponad to, że należał do Serklandczyków, zapewne z ludu Sanhaja, bo innych w tych okolicach nie spotykano. Nosił długą szatę, płaszcz i turban, wszystko w kolorze błękitu, a twarz zasłaniał mu litham, więc tylko po żyłastych dłoniach o długich palcach dało się poznać, że jego skóra miała brunatny kolor. Mężczyzna odezwał się, chyba o coś zapytał, ale wyznaniec z Noregu nie znał mowy miejscowych, mimo iż przez ostatnie miesiące dzień w dzień się jej przysłuchiwał. Napastnik powtórzył pytanie, które wydawało się składać z samych wykrzykników, i wzmożił nacisk miecza. Stigandi mógłby równie dobrze słuchać rechotania żab, ale coś niecoś powiedziały mu oczy nieznanego, czarne i złośliwe, osadzone pod przeraźliwie grubymi i zrośniętymi ze sobą brwiami. Stał nad nim zabójca, który lubił swoją robotę. W niemym poecie tliły się stare przyzwyczajenia. Nogi miał dostatecznie podkurczone, aby nagle je wyprostować i uderzyć w golenie tego syna niemytej wielbłądzicy, dałby też radę zgarnąć trochę żwiru z piaskiem i cisnąć mu go w oczy, albo lepiej, chwycić za ogon żmiję, która pełzała mu obok dłoni i wycisnąć jad wprost na twarz napastnika. Największy problem tkwił w mieczu, który przy jego szyi robił za brzytwę, ale może udałoby mu się odchylić głowę wystarczająco daleko, aby swojego ataku nie przypłacił natychmiastową śmiercią. Łotr dbający wyłącznie o sławę i złoto próbowałby to wszystko wprowadzić w życie, tymczasem Stigandi nie zdobył się nawet na drwiący uśmiech. Patrzył tylko obojętnie, jak napastnik w błękicie bierze zamach znad ramienia, tnąc i zatrzymuje ostrze palec przed jego gardłem. Język Skalda pozostał drewniany, jakby go wcale w gębie nie było, odezwał się za to jeden ze spętanych już górników. Mężczyźni rozmawiali przez chwilę, po czym wojownik z krzaczastymi brwiami opuścił broń, kopnął siedzącego i gestem nakazał mu odsłonić twarz. I znów dawny pieśniarz nawet nie rozważałby zgody, albowiem wśród Sanhajów mężczyzna zdejmował litham tylko przed kimś starszym, bardziej szanowanym lub po prostu lepszym od siebie,

a kowal słów uważał się niegdyś za równego największym władcom tego świata, jednak ten nowy, złamany Stigandi był tylko plewą rzuconą na wiatr, bez protestów więc osunął tkaninę i pokazał napastnikowi wychudzoną, zarośniętą głębę. Uległość, a może sama twarz, spodobała się wojownikowi, który kiwnął głową, schował miecz do pochwy, wskazał na siebie i powiedział „*sabib*”, a następnie wymierzył palec w pierś jeńca i rzekł: „*hadim*”. Te słowa wyrzutek z Noregu akurat znał, albowiem przez ostatnie trzy lata Ali wymawiał je nieustannie. Oznaczały „pana” i „niewolnika”, co potwierdził jego właściciel, zaciskając mu więzy na przegubach.

## 2

Ali wyczuwał, że stało się coś niedobrego. Co prawda pustynia nigdy nie rozpieszczała wędrowców hałasem, ponieważ piasek tłumiał odgłosy kroków, a tarmoszone przez wiatr wydmy nie trzeszczały i nie szumiały jak drzewa i liście, tylko delikatnie się sypały, falowały i przebudowywały, ale głucha cisza osnuwająca Taghazę wręcz krzyczała o tragedii, jaka się tu wydarzyła. Powinny ich witać okrzyki wybiegających zza zabudowań górników albo chociaż odgłosy kilofów uderzających o skałę, wyzwiska spierających się przy grze w kości mężów lub słowa modlitwy, bo przecież mieli południe, czas *salat az-zubr*. Pamiętali o tym jego ludzie, którzy zamiast ruszyć do wioski, aby wy badać sytuację, zsiadli z wielbłądów, obtarli twarz i dłonie piaskiem, zwrócili się w stronę Mekki, a potem rozpoczęli swój modlitewny rytuał, podczas którego garbili się, klękali, dotykali czołem podłoża, wstawali i kilkakrotnie ponawiali cały proces, śpiewnie recytując przy tym słowa na cześć Allaha. Wojownik z Wagadou robił to wraz z nimi, bo choć dawno już przestał wierzyć bogom i jego słowa oraz gesty nic nie znaczyły, to pobożność dobrze wyglądała w oczach mahometan, a stały rytym i powtarzalność zawołań pomagały mu się skupić.

Wyruszyli z Sijilmasy dwa miesiące temu, niedługo po ustaniu deszczy, kiedy studnie są pełne wody, a pastwiska obfitują w trawę dla zwierząt. Żegnały ich tłumy mężczyzn, dzieci i kobiet, bowiem w całym Magribie jeszcze nie widziano tak wielkiej karawany. Liczyła tysiąc wielbłądów obładowanych prowiantem i materiałami na handel oraz czterystu ludzi, wśród których znajdowali się kupcy, poganiacze zwierząt, wojownicy i służący Alego, stu zbrojnych przewodników z klanu Juddala, a nawet Niegrzeczne Niedźwiadki, którym znudziło się chłanie i bałamucenie dziewczek w nadmorskim pałacu Czarnego Berserka. Początkowo wszystko układało się po ich myśli. Bezkresna *sabra* o monotonnym krajobrazie nie wydawała się taka straszna. Przewodnicy bezbłędnie prowadzili ich do oaz, gdzie czekała świeża woda i pasza dla dromaderów. Pogoda im sprzyjała. Powoli, niczym morski wąż,

płynęli przez pustynię, przecinając bezkresną żółć szarością swych płaszczów i białą turbanów, mącąc spokój piasków gwarem rozmów i rżeniem wielbłądów. Trzy tygodnie temu powodzenie wyprawy zawisło na włosku. Uderzyła w nich burza piaskowa, zaskakując nawet siwobrodego mu'addina z klanu Juddala, który odpowiadał u nich nie tylko za wezwania do modlitwy, ale potrafił też z kształtu wydm, ułożeniu odnajdywanych kości i własnego samopoczucia odczytywać wolę Allaha odnośnie pogody. Zrobiło się ciemno, a wirujące tumany piasku smagały każdego, kogo napotkały na swojej drodze. Nie zdążyli rozbić obozu, ale większości podróżnym udało się ustawić w ciasnym kręgu, posadzić wielbłądy, nakryć je pledami i schować się za zwierzętami. Kto tego nie zrobił, przepadł. Burza trwała przez całe popołudnie i noc, a kiedy nazajutrz o świcie przywitało ich błękitne niebo, okazało się, że stracili dwieście wielbłądów i czterdziestu dwóch ludzi, a wraz z nimi wiele towarów i spory zapas wody. Co gorsza, podczas burzy zeszli ze szlaku, a ponieważ zmienił się układ wydm, przewodnicy stracili rozeznanie, gdzie dokładnie się znajdują. Przynajmniej słońce nie zmieniło trasy swojej wędrówki, co pomogło im ruszyć mniej więcej we właściwym kierunku, ale i tak błędzili przez pięć dni, zanim odnaleźli drogę do najbliższej oazy.

Modlitwa dobiegła końca i Ali mógł w końcu zaspokoić ciekawość. Postawił ludzi w stan gotowości, rozkazał zaufanym wojom pilnować, aby karawana się nie rozproszyła i czekała z dala od zabudowań, sam zaś stanął na czele oddziału zwiadowczego. Początkowo stopy zapadały im się w piasku, który wsypywał się do sandałów i parzył palce, ale zaraz weszli na twardszy grunt, jakby skalny, choć i tak usłany milionem żółtych ziarenek. Po lewej stronie mieli *sabkha*, czyli solne jezioro, a raczej olbrzymią łacchę pobielonej ziemi, w której wykopano dziesiątki dołów i kanalików. W porze mokrej wypełniały się one deszczówką, ale teraz na ich dnie leżał jedynie biały, grząski osad. Obok suchego jeziora znajdowała się właściwa kopalnia, choć oni widzieli tylko labirynt przecinających się rowów i otwory wejściowe podziemnych korytarzy.

Ali przystanął, dając pierwszeństwo skorpionowi przemykającemu mu pod podeszwą i stroszącemu zakończony kolcem ogon. Te małe stworzonka zwykle nie okazywały takiej ruchliwości, woląc przeczekiwać upał w norach i skalnych szczelinach, zatem ten jeden odważny musiał mieć schronienie gdzieś niedaleko. Ali prześledził jego trasę

i sześć kroków dalej dostrzegł palec wystający spod piasku i małych kamyczków. Kucnął, odgarnął sypkie podłoże i natrafił na ludzką rękę. Dwóch zbrojnych przyszło mu z pomocą i razem wydobyli na powierzchnię ciało zasypane raczej przez wiatr, a nie człowieka. Trzy inne skorpiony wylazły spod poruszonych zwłok i uciekły szukać nowej kryjówki. Martwy mężczyzna z pewnością nie umarł z pragnienia i głodu, gdyż plecy miał pocięte ostrym przedmiotem, najpewniej mieczem. Jeden ze zbrojnych z klanu Juddala rozpoznał w zabitym dalekiego kuzyna i przywitał go imionami swoich matek i ojców, którzy co do jednego mieli płakać w raju nad niedolą nieboszczyka i wypraszać mu u Allaha miejsce w ogrodach rozkoszy.

Na znak Alego wszyscy dobyli broni. Odnaleziony trup nie był może dzisiejszy, ale też rozkład ciała ledwo postąpił, przeto mordercy mogli wciąż czaić się w zasadzce. Zwiadowcy ruszyli dalej i po chwili dotarli do twardego kamiennego podłoża, na którym wzniesiono zabudowania. Przy pierwszych domach natrafili na kolejnych dwóch martwych górników z ranami ciętymi i jeszcze jednego, ze strzałą w plecach. Wojownik z Wagadou kopnął drzwi jednej z chat i wpadł do środka. Nikogo nie zastał. Kolejny dom też okazał się pusty, a do tego ograbiony z wszelkich sprzętów, brakowało w nim nawet koców do spania czy choćby jednej szmaty. Po przeszukaniu następnych dwóch sadyb stało się jasne, że nikogo żywego tu nie spotkają. Ali zezwolił na schowanie broni i rozdzielił ludzi, aby dokładnie przeczesał teren. Sam udał się na plac pośrodku wioski, gdzie oprócz trupa z rozbitą głową znalazł rzędy solnych bloków. Niektóre z nich były roztrzaskane, inne tylko porozrzucane, ale większość leżała gotowa do załadunku. Z pewnością rabusie, którzy spustoszyli osadę, uszczknęli sobie i tego skarbu, lecz nie mieli dostatecznie wiele zwierząt, aby zabrać go w całości, bo w końcu przygotowywano tu ładunek dla karawany liczącej tysiąc wielbłądów.

Czarnoskóry wojownik dokładnie przyjrzał się każdemu odnalezionemu trupowi, szukając przyjaciela. Za Skaldem ciągnęła jakaś mroczna siła, która przynosiła nieszczęście wszystkim dookoła, ale jego jakimś cudem wybawiała z wszelkich opresji, dlatego zgodził się go tu zostawić na te kilka miesięcy, wierząc, że choćby pustynia nagle zamieniła się w prawdziwe morze, pieśniarz i tak znajdzie jakąś kłodę, na której dopłynie do brzegu. Rzeczywiście, najwyraźniej zdołał wywinąć

się także z tej rzezi, bowiem jego ciała nie odnaleziono. Nie tylko jego zresztą brakowało. Doliczono się czternastu trupów, a zatem dwudziestu trzech górników przepadło. Jednak w tym momencie przywódca karawany miał pilniejsze sprawy na głowie niż dumanie nad ich losem.

Ali, nazywany przez uczestników wyprawy panem tysiąca wielbłądów, wziął się za rządzenie swym ruchomym królestwem. Wystawił strażę, rozesłał zwiadowców i nakazał rozbić obóz. Pierwotnie planował zabawić w Taghazie góra dwa dni, jednak obecne kompilacje oznaczały co najmniej dwutygodniową zwłokę. I nie chodziło tylko o załadunek towaru – wojownicy Juddala odmówili dobicia targu, dopóki wioska i kopalnia nie zostaną należycie zabezpieczone. Wysłano zatem umyślonych do sąsiednich oaz z zadaniem dostarczenia wody i przywiezienia nowych górników oraz kogoś ze starszyny klanu. Po zajęciu się najpilniejszymi sprawami wygnaniec z Wagadou zwołał najważniejszych członków karawany na naradę.

Zebrali się na placu i zasiedli na dywanikach przy misce suszonych daktyli i dzbanie z wodą. Ali uchylił swój litham, okazując tym szacunek rozmówcom i podnosząc ich do swojej rangi, a następnie pozdrowił ich słowami.

– *As-salamu alaykum*, drodzy bracia.

– *Wa aleykum as-salam* – odpowiedzieli, również odsłaniając twarze.

– Niezbadane są ścieżki, jakimi Allah przechadza się w raju, ale musimy poznać los górników. Pochodzę z plemienia, w którym słowa mają cenę, bo wraz z nimi uchodzi z człowieka energia życia, będę więc mówił krótko i szczerze. Zbadaliśmy zbiornik gromadzący deszczówkę i należy założyć, że wysechł kilka tygodni temu. W całej osadzie nie ma dzbana z choćby jedną kroplą wody. Brak też pożywienia. Pozwala to sądzić, że górnicy kilka dni temu wdali się w spór o resztki zapasów. Przeigranych zastaliśmy w piasku. Wygrani udali się szukać wody i pożywienia w oazach.

Podniósł się gwar. Oburzeni przewodnicy zaczęli kręcić głowami, unosili ręce, chowali twarze w dłoniach, a ponad wszystko wzywali imiona ojców, biorąc ich na świadków swojej uczciwości i miłości wobec braci. W końcu uspokoił ich Yahya ibn Khaldun. Pierwszy Przewodnik odznaczał się wyjątkowo lichą postawą, dość powiedzieć, że Alemu sięgał ledwo do piersi, ale cieszył się niezwykłym posłuchem i skutecznie dowodził setką wojowników Juddala, którzy ochraniaли karawanę.

– Prośmy Dżibrila, aby oświecił naszego przyjaciela, albowiem błędzi w ciemnościach. Jesteśmy ludem pokoju i nasz klan nie zna piętna Kaina. Juddalowie nie walczą między sobą. To musieli być złodzieje pustyni. Śmierdzące szakale z klanu Lamtuna nie znają honoru i ograbili naszą wioskę.

Ali też uznawał tę wersję wydarzeń za bardziej prawdopodobną, ale celowo chciał rozdrażnić przewodników, aby potem ustąpić i dzięki temu ugrać coś więcej podczas handlu.

– Co słyszysz? Czy w zeszłym roku nie zapewniałeś mnie, że Juddalowie są silni i w pełni kontrolują szlak od Magribu do Wagadou? Czy nie mówiłeś, że inne klany są przy was niczym hieny przy lwie i tylko szczekają, aby okazać swą bezsilność? Czy nie przekonywałeś, że nie warto płacić za ochronę innym klanom, bowiem Juddalowie mają dwadzieścia razy po tysiąc wojowników i pięćdziesiąt razy po tysiąc wielbłądów, i sto razy po tysiąc osłów, zatem budzą trwogę wśród wszystkich klanów Sanhajów i nawet u ludu Soninke z Wagadou?

– Tak było i jest. Zważ jednak, że i hiena może pożywić się padliną, gdy lwa nie ma w pobliżu. Ale teraz przybył. Taghaza odrodzi się, a złodzieje pustyni zostaną odszukani i rozerwani osłami. Ty zaś, drogi bracie w Allahu, nie odniosłeś żadnej szkody z działań niemytych Lamtunów. Dopilnuję, aby nasza strona dotrzymała wszystkich warunków umowy.

– Nie ma szkody? Na świętą al-Kabę!? Zaprawdę w ustach tego męża mieszka dżin, który wszystkie jego mądre słowa zamienia w bełkot.

Yahya poczerwieniał, ale nie zerwał się z miejsca, za to Ali ledwo się powstrzymał, by nie wybuchnąć śmiechem. Nie wszyscy przywykli do ciętego języka Isy ibn Ishaka, chociaż towarzyszył im od początku podróży i pomagał zarządzać karawaną. Isa, dawne oko emira Krety i wywiadowca grikklandzkich władców, współpracował z Alim od dwóch lat. To dzięki jego kontaktom zarówno w grikklandzkim imperium, jak i w emiratach mogli rywalizować z największymi kupcami świata. Wspólnie udało im się dziesięciokrotnie pomnożyć złoto, które ocalili z wielkiego skarbu Krety. Isa, w zgodzie ze swoimi starymi przyzwyczajeniami, nie lubił jednak stać na świeczniku, zgodził się więc zostać tym drugim, który chowa się za potężnymi plecami Alego i działa z ukrycia. Teraz obrócił głowę bokiem do swego rozmówcy i zrobił obrażoną minę. Jako jeden z nielicznych członków karawany nie nosił tur-

banu i lithamu, tylko swoją satynową czapczkę i nedorzecznie kolorowe pantofle. Przyliżał równo przystrzyżone wąsiki, pogładził szpiczastą bródkę i znów zwrócił się do Yahyi.

– Czy nie wiesz, że w waszej solnej dziurze zaginał najlepszy przyjaciel naszego czarnego ghana? Z waszej gościny korzystał słynny konung Północy, który przed światem i swymi wrogami ukrywał się pod imieniem Stigandi.

– Stigandi? – Yahya strząsnął dłonią piasek z ramienia. – Ten wólczęga?

Przewodnicy zaśmiali się, a ich przywódca ciągnął dalej.

– Wybacz mi, Ali synu Alego. Myśleliśmy, że to twój sługa, którego z racji nieprzydatności zostawiłeś u nas, by zapracował się na śmierć w kopalni.

– Władca czy sługa, to nie ma żadnego znaczenia – wyjaśnił Isa. – Ważne jest to, że pan tysiąca wielbłądów poniósł stratę, bo nie wywiążaliście się należycie z obietnicy ochrony jego majątności.

– Dobrze więc. Zapłacimy za niego odszkodowanie jak za najlepszego niewolnika, bo nawet jeśli kiedyś był władcą, teraz jest hadim albo pokarmem dla szakali.

– Stigandi wart jest przynajmniej trzech silnych mężczyzn.

– Zapłacimy dwakroć tyle, co za najlepszego niewolnika.

Ibn Ishak był niezrównanym kupcem, świetnie panował nad targiem, potrafił mu nadawać odpowiedni rytm i za pomocą różnorodnych gierek utrzymywać rozmówcę w niepewności. Sięgnął po dzban, nalał sobie wody do kubka i napił się, krzywiąc się przy tym niezmiernie, dając wszystkim do zrozumienia, że przywykł do lepszych napojów.

– Brzęczenie tego srebra nie będzie miłe memu panu, ale być może wino, które za nie kupi, ukoi jego tęsknotę za przyjacielem.

– Przemawiasz mądrze jak uczony kadi. Zgoda jest miła synom Judala, ale właściciel karawany też musi jej chcieć.

Ali czuł na sobie ich spojrzenia, jednak milczał, wpatrzony w kikut swojej prawej ręki. Tak wiele już poświęcił dla Ainara. Przemierzył z nim pół świata, walczył dla niego, pomagał mu w oszustwach i podstępach, wybaczał mu zdrady i szykany, sto razy oparł się myśli, by go własnoręcznie zamordować, a przed prawie trzema laty dał sobie uciąć za niego prawą dłoń. Potem się nim opiekował, niemal jak jakaś prześlęta matka, strzegł go, brał w podróże, kupował mu wino, przysyłał



dziewki, próbował rozbawiać i wyrwać z odrętwienia, pomnażał ich wspólne dobra i gościł go w swoim nadmorskim pałacu. Nie był mu nic winien. Skald znał niebezpieczeństwa ich stylu życia i w Taghazie został na swoje własne życzenie. Ślepy zauważyłby, że pieśniarz pragnie śmierci, jeśli więc w końcu odnalazł w niej spokój, Ali nie mógł się o to obwiniać. A jednak kikut śwędział go za każdym razem, gdy tylko pomyślał o porzuceniu przyjaciela. Na marne poszłaby ofiara z jego ręki, jeśli pieśniarz zdechłby w piaskach pustyni.

– Nie. Nie chcę żadnego odszkodowania. Macie mi pomóc go szukać.

– Twardo się targujecie. – Yahya kiwnął głową, jakby z uznaniem. – Niech więc będzie, zgodzę się na trzykrotną wartość.

– Nie żartuję. Chcę odnaleźć Stigandiego.

– Panie, my też pragnęlibyśmy odbić naszych towarzyszy i niewolników, ale nie sposób odnaleźć śladów na piasku. Jak mamy ich tropić? Złodzieje pustyni to tchórze i szybko stąd pognali, może do jakiejś oazy, jaskini albo do miasta Awdaghust. Poszukiwania zajmą miesiące, a niemcy Lamtunowie w tym czasie mogą ich komuś odsprzedać. Ich los leży już w rękach Allaha.

– Zostanę tu, jak długo trzeba.

– Pan tysiąca wielbłądów ma skłonność do przesady– wtrącił Isa, popijając wodę z kubka. – Przecież znamy pieśniarza. Z pewnością sobie poradzi, a my nie możemy tu długo zwlekać. Za kilkadziesiąt dni skończy nam się woda, a dowożenie jej dla tyłu zwierząt i ludzi nie wchodzi w grę.

– Skald jest moim współnikiem. Jeśli się nie odnajdzie, nie dobijemy targu.

– Twoja karawana znajduje się na środku pustyni i bez moich ludzi nigdy się z niej nie wydostanie. Juddalowie są silni i z łatwością mogliby zmusić was do wywiązania się z umowy.

Za takie słowa Ali niegdyś urywał głowy, teraz jednak w pełni panował nad szałem. Wciąż pamiętał o sile strachu, jaki wzbudzał w nieprzyjaciołach, dlatego uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy spiłowanych zębów.

– Grozisz mi? Jeśli nie wrócę do Sijilmasy, w całym Magribie dowiedzą się, że nie warto płacić Juddalom za ochronę.

– Bracia. – Isa złożył dłonie i uniósł je nad głowę. – Nie możemy dopuścić, aby węzeł naszej przyjaźni przeciął miecz niezgody!

– Słowo Juddala jest prawem. My nie złamiemy umowy.

– *Hvers þykkir Þarbrand?* – Ali zwrócił się do sternika Niegrzecznych Niedźwiadków i pokrótce wyjaśnił mu sprawę.

Tharbrand uczestniczył we wszystkich naradach, choć słabo znał tutejsze języki i mało przydawał się w dyskusjach. Z pewnością siebie cechująca wszystkich Vaeringów twierdził jednak, że najważniejsze dla najemnika to dobrze wyglądać i trzymać się blisko wydarzeń. Podobnie jak Isa wzgardził lokalnym strojem i razem z pozostałymi Niegrzeczными Niedźwiadkami nosił się jak wojownik z Północy. Miał na sobie wełniany kyrti, niebieskie spodnie ściśnięte na łydkach owijaczami, a nawet kolczugę i gruby kaptur, który opadał mu na plecy. Od dawna golił się na łyso i pielęgnował rudą, lekko posiwiałą brodę, w którą wplatał złote pierścienie.

– Tharbrand nie lubi tego morza. – Najemnik kopnął w podłozę, wyrzucając w powietrze drobinki piasku i kamieni. – Żaden człowiek Północy nie powinien w nim utonąć, a już zwłaszcza nasz szalony konung, któremu zawdzięczam obręczę na mych ramionach.

– Co rzekł ten barbarzyńca? – Yahya przysłonił sobie twarz lithamem, chroniąc się przed kurzem.

Wojownik z Wagadou sięgnął po daktyla i zaczął się nim bawić, obracając go między palcami.

– Mówi, że ludzie Północy nie zostawiają rozbitków na łasce morza. Głupotą jest jednak narażać całą flotę dla jednego człowieka, dlatego dobijemy targu, a karawana ruszy dalej pod przywództwem Isy ibn Ishaka. Ja zaś, z pomocą twych przewodników, ruszę szukać przyjaciela.

– Dżin szaleństwa mieszka w twojej głowie, ale będzie, jak powiedziałeś. Poprowadzą cię najlepsi przewodnicy.

– Zatem postanowione – obwieścił Ali, po czym włożył daktyla do ust i wstał, kończąc naradę.

# 3

Stigandi zgubił sandały i nie mógł po niego wrócić, albowiem powróż ciągnął go do przodu niczym psa. Szedł za wielbłądem, przywiązany do siodła, wachając smród zwierzęcia, spoglądając na pierdzący zad i słuchając nieustającego stękania bestii. Źle mu się chodziło w jednym bucie, drugiego więc sam strząsnął, czego szybko pożałował, bo wiem piasek poparzył mu podeszwy, a drobne kamyczki rozcięły skórę. Nie miał pojęcia, dokąd go prowadzą. Co jakiś czas ktoś się odłączał, a w końcu oddzieliła się grupa, która zabrała ze sobą pojmanych Jud-dalów, zostawiając milczka na łasce olbrzymiego Serklandczyka. Łotr uważał się najwyraźniej za właściciela pojmanego i nikomu nie zamierzał go odstępować. Głupiec nie zdawał sobie sprawy, że trzyma na uwięzi swojego osobistego dawcę pecha.

Wydma, jakaś góra, tu i ówdzie głąz, czasem wyschnięty krzew i tak w kółko. Monotonia gorsza nawet niż na nabożeństwie u krist-madów, ponieważ tam przynajmniej częstowali winem, a tu tylko wodą, i to raz dziennie. Dokuczał mu wznoszony przez wielbłądy pył, przed którym nie miał ochrony, bo stracił prawo do noszenia lithamu. Tuż po pojmaniu próbował zasłonić sobie twarz, ale Serklandczyk ze zrośniętymi brwiami zerwał mu turban wraz z welonem, a następnie poklepał go po policzkach i uderzył się w pierś. Powtórzył to jeszcze dwa razy, aż obolały pieśniarz kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Jego zarośnięta, blada gęba nie należała już do niego i nie miał prawa jej zasłaniać przed właścicielem.

Związane przeguby wystrzeliły do przodu, ból przeszył mu barki, stracił równowagę i upadł na twarz. Wielbłąd zerwał się do biegu i pociągnął za sobą przywiązanego powrozem niewolnika. Wyciągnięty jak struna poeta szurał po podłożu, a przekłete żółte drobinki, tylko pozornie piękne i delikatne niczym złoty pył, rozrywały mu ubranie, haratały brzuch i rzeźbiły czerwone pręgi na kolanach oraz udach. Rozkaszłał się i zaczął dusić dostającym się do płuc pyłem. Słyszał rzenie dromaderów, świst batów smagających zady, śmiechy i potworne

szyderstwa, najgorsze w całej męce, bo jego tyczyły. Nie pierwszy raz tak się z nim bawili, choć nie trwało to nigdy długo. Jako niewolnik miał przecież pewną wartość dla właściciela. Tym razem też zwierzęta w końcu się zatrzymały. Więzień dostał czas na powstanie, ale zbuntował się i leżał dalej, oddychając przez złamany nos i wypływając z ust piasek oraz krew z rozbitych warg. Krzyknięto na niego, a kiedy nie zareagował, wielbłąd znów wyrwał się do przodu, poganiany biczem. Ciało pieśniarza wróciło do szorowania pustyni. Po kilkudziesięciu krokach Serklandczycy ponownie się zatrzymali i zaczęli wrzeszczyć na niewolnika, ten jednak nie dawał znaku życia. Usłyszał i poznał po drzeniach powroza, że jeździec mieniący się jego właścicielem zmusił dromadera do uklęknięcia i przysiadu, a potem zeskoczył na piasek i ruszył ku więźniowi. Stigandi zarobił kopa w brzuch. Powietrze z niego uleciało i nie mógł wziąć oddechu. Pięć skórzanych rzemieni doczepionych do rogowej rękojeści świsnęło w powietrzu i poprawiło czerwone pręgi na jego plecach. Wąż wypełził z nory, owinał się wokół szyi niewolnika, pokazał mu zęby jadowe i zajrzał mu w oko, bezgłośnie pytając, czy to już koniec, czy ma sobie iść i komuś innemu służyć jako opiekuńcza hamingja. Poeta zapytał sam siebie: wstać i żyć czy leżeć i umrzeć? Nigdy wcześniej tak mocno nie czuł, że wybór należy do niego samego, a nie do pijanych norn wyszywających mu przeznaczenie. Mógł doprowadzić do skutku to, co zaczął niemal przed trzema laty. Wyrzekł się wtedy Göllnira, imienia i samego siebie, teraz stracił jeszcze wolność i twarz. Zostało mu tylko życie. Wszystko, co zrobił i czego dokonał, stanęło mu przed oczyma – i wydało mu się mniej warte od garści piachu. Wystarczyło raz jeszcze oddać się węglózerstwu, aby na zawsze pochłonęła go ciemność.

Zalał go chłód, przyjemny, ale tylko do czasu, gdy się zorientował, że spada na niego złoty deszcz. Czy tak miał umrzeć wielki pieśniarz Północy? Próbował krzyknąć „nie”, lecz nic oprócz jęku nie mogło przejść mu przez gardło. Zaciśnął pięść. Nie miał nic przeciwko porządnej śmierci, jeśli jednak miała nadejść, to bogini Hel powinna przytaszczyć tu swoje kościste dupsko i sama się o niego upomnieć. Chwytał duszącą go hamingję, odciągnął ją od szyi i odgryzł jej łeb. Podparł się na rękach, ignorując bolesną prośbę ciała, aby nie zmieniać pozycji, ugiął nogi i powoli wstał. Serklandczyk w błękicie pokiwał głową i powiedział coś do swoich towarzyszy, a po jego głosie dało się po-

znać, że jest zadowolony z postawy niewolnika. Zaraz jednak chwycił go za szaty, przyciągnął ku sobie i podstawił mu pod nos trzonek bicia. Stigandi poczuł odór oślej skóry zabarwionej ludzką i zwierzęcą krwią. Zalał go słodkawy smród z krzyczących na niego ust, mimo iż te przysłonięte były welonem. Hadim spojrział w złe oczy swego sahiba i na jego wstrętne, zrośnięte brwi. I pieśniarz przyznał przed samym sobą, że los tego człowieczka nie jest mu wcale obojętny, albowiem wydłubanie mu ślepi i wyrwanie brwi sprawiłoby niememu poecie odrobinę przyjemności. Tymczasem jednak to złodziej pustyni chwycił go za brodę i nawrzeszczał mu do ucha, zapewne coś o tym, że ma słu-chać poleceń, bo inaczej znów go oćwiczą.

Gdy oprawca go puścił, pieśniarz zaczął iść.

# 4

Poszczyściło im się albo poszukiwanie ludzi na pustyni nie było tak trudne, jak wcześniej przekonywali go Juddalowie. Za śladami stóp rzeczywiście nie dało się podążać, ale przecież każdy, kto chciał przetrwać na morzu, pływał ustalonymi szlakami. Rabusie musieli pokonywać bezkresną żółć zygzakiem, którego wzór wytyczały ujęcia wody, a Juddalowie z okolic Taghazy znali je wszystkie. Ali wraz z przewodnikami założyli, że Lamtunowie pozęglują na zachód, ku terenom w większości kontrolowanym przez ich klan. Już przy trzeciej studni znaleźli ograbione gospodarstwo i zwłoki przynajmniej części jego mieszkańców, okrutnie pochlastanych mieczami. Uznali to za znak bytności tej samej grupy, która zniszczyła wioskę solną, więc po uzupełnieniu wody zaczęli jeszcze mocniej smagać zady dromaderów. I znaleźli łotrów, w południe, dokładnie trzy tygodnie od rozpoczęcia pościgu.

Ludzie Alego też zostali zauważeni, nie mogło być inaczej, w końcu wydmy nie dawały prawie żadnej osłony. Niestety Lamtunowie okazali się, jak wszyscy rabusie świata, odważni wśród słabych, a truchlejący przed silnymi, rzucili się więc do ucieczki. Początkowo grupa pościgowa sprawnie zmniejszała odległość od bandytów, ci jednak wkrótce wykazali się mądrością, nawet jeśli podszytą okrucieństwem. Ali dostrzegł kształt, który oddzielił się od jeźdźców pustyni i pozostał na miejscu nieruchomy. Wojownik nazywany dawniej Czarnym Achillesem domyślił się, co się stało, jednak milczał, dopóki nie zbliżyli się na tyle, aby wszyscy zobaczyli dojrzałego mężczyznę z poderżniętym gardłem, który z otwartymi i zalanymi krwią ustami wpatrywał się w niebo. Lamtunowie pozbyli się jednego z podążających pieszo niewolników, którzy ich opóźniali, przekazując przy tym ostrzeżenie, że dalszy pościg oznaczać będzie kolejne trupy.

– To nikt z Taghazy – oznajmił Pierwszy Przewodnik Yahya, wstrzymując wielbłąda.

– Pewnie to nieszczęśnik ze zniszczonego gospodarstwa – wtrącił jeden z wojowników. – Niech Allah przyjmie go do zgromadzenia prawych.

– *Helviti!* – zaklął Tharbrand, po czym dodał – Złodziej, co łup wyrzuca, nogi ma jak śledzie. Czemu ci śnięci mężowie w koszulach tak stoją? Już ich prawie mamy!

Brodaty sternik był jedynym Niegrecznym Niedźwiadkiem w grupie pościgowej. Pozostali też chcieli jechać, ponieważ straszliwie się nudzili w podróży, jednak Ali wołał ich zostawić przy karawanie, żeby wraz z Isą doglądali spraw. Nerozważnie byłoby zostawić cały swój majątek wyłącznie na łasce przewodników.

– O czym znowu szceka ten barbarzyńca, co zamiast głowy ma bryłę soli? – zapytał Yahya. – Jedziemy czy nie?

Czarny Achilles sam się nad tym zastanawiał. Mieli przed sobą siedemnastu jeźdźców, on prowadził dwudziestu ludzi. Siły były więc mniej więcej wyrównane, ale musiał się liczyć z nastrojami podwładnych. Wszyscy oprócz Vaeringa należeli do klanu Juddala, gdyby więc złodzieje morza zaczęli kolejno zabijać ich krewnych i przyjaciół, mogłoby dojść do buntu albo nieprzemyślanego natarcia. A to skończyłoby się źle przede wszystkim dla samych niewolników, wśród których Ali miał nadzieję odnaleźć Ainara.

– Zwalniamy i utrzymujemy dystans. Niebawem się ściemni i wtedy spróbujemy ich dojść.

Wymuszona ślamazarność wystawiła jego cierpliwość na wielką próbę. Znaleźli się tak blisko celu, a jednak nie mogli go sięgnąć. Pragnął działać, kaleczyć i zabijać, a zamiast tego kołysał się w przód i w tył na leniwie kroczącym dromaderze, aż mu się zebrało na wymioty, jakby miał chorobę morską. Mimo grubej derki pod tyłkiem garb wbijał mu się w krocze, a spocona skóra zgrzanego po niedawnym biegu zwierzęcia wręcz parzyła go w łydki. Upał zdawał się nie mieć końca. Ali napił się wina palmowego i zaczął żuć suszone mięso, by przynajmniej szczeniaki czymś zająć i zmusić żołądek do zapomnienia o całym tym przeklętym bujaniu. Pocieszał się, że ich plan na razie się sprawdzał. Uciekinierzy przestali zabijać niewolników, pewno mając nadzieję, że w ciemnościach zdołają zgubić pościg. Obie strony z utęsknieniem wyczekiwały nocy. Ta wreszcie nadeszła, niemal momentalnie, z pominięciem wieczora.

Gdy czerwone słońce schowało się za wydrami, Ali smagnął dromadera po zadzie. Zwierzę szarpnęło łbem, zakwicztało i puściło się pędem. Gwiazdy mocno świeciły, przynajmniej widzieli więc drogę

przed sobą, a wielbłądom nie groziło połamanie nóg. Stracili z oczu przeciwnika, dlatego szarżowali trochę na oślep, w kierunku, gdzie nieprzyjaciel znajdował się za dnia. Dromadery stękały ze zmęczenia, ale nie dawali im wytchnienia, tylko jeszcze gorliwiej ponagłali je słowem i batem. Wojownik z Wagadou czuł rosnące podniecenie, lecz pilnował się, aby spętany łańcuchami Wertragna nie nawiedził go, nie rozgrzał mu krwi i nie sprowadził na niego wojennego dygotu, szału berserków czy innego bitewnego uniesienia odbierającego rozum. Przypomniawszy sobie spokój, jaki go ogarnął, gdy pokonał demona o sowim łbie. Poszukał chłodnej pustki w głowie i tam spoczął, pogodzony ze sobą i skupiony.

Gnali już chyba dostatecznie długo, aby dopaść nieprzyjaciela, nadszła go więc obawa, że może się z nim minęli. Zwolnił, ale w tym momencie wielbłąd po jego lewej stronie klęknął i wyrzucił jeźdźca przez głowę. Nie, nie klęknął! Ali dostrzegł dwa kształty, które początkowo brał za głowy, okazały się jednak przykucniętymi wojownikami trzymającymi między sobą linę. Jeszcze dwa inne wierzchowce zostały tak podcięte, a spod piasku wynurzyli się zamaskowani wojownicy, krzyżując i wymachując mieczami błyszczącymi w świetle księżyca. Z lewej strony na oddział pościgowy runęli jeźdźcy.

Ali szarpnął wodze przymocowane do nosa zwierzęcia, a te pociągnęły za sobą łeb i szyję dromadera. Wielbłąd zrobił zwrot w prawo i stratował czającego się w ciemnościach wroga. Czarnoskóry wojownik popędził ku najbliższemu jeźdźcowi pustyni, który najeżdżał na niego z opuszczoną włócznią. Jednoręki popuścił wodze, włożył ich koniec do ust i wyciągnął saif, swój słynny zakrzywiony miecz nazywany Ludożercą. Wpatrzył się w grot wymierzonej w niego włóczni, ale nie grzał się jak dawniej, nie krzyczał i nie wył niczym dziki zwierzę, tylko wyciszył się, wyłączył umysł i zaufał umiejętnościom swego ciała. Zdało mu się, że potrafi przewidzieć każdy ruch przeciwnika. Skręcił ciało i grot śmignął mu pod pachą. Wyprostował się, równocześnie siękając znad głowy. Trafił przeciwnika w bark. Jednoręki wojownik nawet się nie obejrzał na spadającego z wielbłąda łowcę niewolników, tylko pognał ku kolejnemu niebezpieczeństwu. Puścił miecz, który dzięki rzemieniowi zawisł mu na nadgarstku, i sięgnął po wodze, odzyskując kontrolę nad wielbłądem. Kolejny napastnik cisnął w niego krótkim oszczepem. Ali przytulił się do szyi dromadera i grot przeleciał mu



nad plecami. Nie miał czasu zamieniać wodzy na miecz, zresztą i tak przeciwnik nadjeżdżał z prawej strony, co utrudniało swobodne operowanie Ludozercą. Czarny Berserk wciąż jednak miał siłę w prawej ręce. Zamachnął się kikutem i wyrznął przedramieniem w głębę mijającego go jeźdźca, wysadzając go z siodła.

Ali wstrzymał wielbłąda i rozejrzał się po polu bitwy. Większość wojowników walczyła już pieszo, a najwięcej uwagi przyciągał Tharbrand. Najemnik z Północy stał mocno na rozstawionych nogach i zataczał kręgi niewiarygodnie długim toporem. U jego stóp leżały dwie głowy, noga i trzech niedawnych właścicieli tych części ciała. Napastnicy z klanu Lamtuna nie mieli już odwagi się do niego zbliżyć i tylko krążyli wokół z włóczykami. Czarny Achilles zaszarżował na nich od tyłu. Pierwszego rąbnął w głowę, wyginając stożkowaty hełm i krojąc czaszkę, drugiego staranował, a trzeci sam padł na ziemię, prosząc o zmiłowanie.

Potyczka zmierzała ku końcowi, lecz kilku rabusiów wciąż stawało zażarty opór, dzięki czemu Pierwszy Przewodnik Yahya mógł udowodnić swemu pracodawcy, dlaczego mimo nikczemnego wzrostu cieszył się ogromnym szacunkiem swych ludzi. Ali jeszcze nigdy nie spotkał jeźdźca tak sprawnie dosiadającego wielbłąda, który należał przecież do najbardziej złośliwej i upartej rasy stworzonej przez Allaha czy innego boga. Dromader dowódcy Juddalów był szybki i zwrotny, niemal jak ogier ze stajni kalifa Qurtuby, potrafił zatrzymać się w pełnym biegu, a do tego podstępnie kopał i gryzł przeciwników, zarówno swych pobratymców, jak i ludzi. Z kolei mały wojownik na jego grzbiecie zdawał się być przedłużeniem garbu, bo unosił się zgodnie z rytmem biegu zwierzęcia, a szare odzienie mężczyzny zlewało się ze skórą wielbłąda. Krótką włócznią władał tak sprawnie, że wzrok nie nadążał za grotem kreślącym w powietrzu wzory i kłusującym wrogów niczym pustynna żmija. To on pokonał ostatniego stojącego na nogach złodzieja, pewnym ruchem przebijając mu gardło.

Zwyciężyli, choć okupili to śmiercią połowy ludzi. Zginęło dwunastu Lamtunów, a pięciu poddało się albo z powodu ran, albo zajęczego serca. Zostali spętani, obdarci z lithamów i przeznaczono im taki sam los, jaki oni gotowali porwanym przez siebie ludziom. Ali wysłał zwiadowców, aby szukali niewolników. Kilkadziesiąt kroków od miejsca potyczki znaleźli dziesięciu spętanych mężczyzn. Nie było wśród nich Ainara.

– Gdzie Stigandi? – zapytał Czarny Berserk, a widząc niepewne miny niewolników, uściślił: – Wysoki mężczyzna o bladej skórze, który nie mówi. Widzieliście go?

Uwalniani ludzie bardziej zajęci byli masowaniem obolałych nadgarstków i rozprostowaniem nóg, niż słuchaniem pytań, wygląd Alego sprawiał jednak, że niełatwo się go ignorowało. Mężczyźni kłaniali się mu i składali przed nim ręce w dziękczynnym geście, ale milczeli.

– No mówcie wreszcie! – krzyknął, unosząc jednego z niewolników w samej tylko lewej ręce.

– Kim... kim jesteście?

– Przybywamy z Taghazy. Ci złodzieje pustyni zniszczyli to miejsce i pojmali mego przyjaciela. Taki niemy, mógł się wydawać głupkiem.

– Niech Allah błogosławi ślady, które zostawiasz na piasku, ale nie potrafię ci pomóc. My jesteśmy z Oazy Płaczącego Osła. Nigdy nie byłem w Taghazie.

– Kłamiesz!

– Nie, panie.

– Ma rację. – Ali poczuł na ramieniu dłoń Yahyi, który odezwał się łagodnym, ale stanowczym głosem. – To Juddalowie, ale nie pochodzą z Taghazy ani jej okolic. Wychodzi na to, że ścigaliśmy złą grupę.

„Złą grupę” – zadudniło w głowie Alego, który puścił nieszczęśnika i zakrył sobie twarz dłonią. Okazał się głupcem, którego napędzał wyłącznie ślepy upór. Nie bez powodu miejscowi nazywali pustynię morzem. Człowiek mógł zniknąć w jej czeluściach niczym kamień rzucony w wodę. Stracili trzy tygodnie, podążając fałszywym tropem, a może i w złym kierunku. Ainar mógł być teraz wszędzie w promieniu setek mil, szukanie go straciło więc jakikolwiek sens.

# 5

Szli za dnia, odpoczywali w nocy, niekiedy zachodzili na kamienne wysepki, gdzie wśród skalnych formacji ukryte były studnie. Poszarpane ubranie nie chroniło już ciała Stigandiego –grzał się na słońcu, a marzył w świetle księżyca. Owe nocne chłody wcale go nie dziwiły, ponieważ, o ile zgadzały się jego obliczenia, na świecie wciąż panowała zima, chociaż tutaj zakradała się tylko podstępem, pod osłoną ciemności. Nabierał pewności, że znajduje się u bram Muspellsheimu, krainy ognistych olbrzymów, gdzie iskry rosną zamiast trawy, ściany ognia tworzą pasma górskie, a w rzekach płynie lawa. Pewnie prościej byłoby to sobie wyobrazić jako jedną wielką pożogę, ale przegrzany umysł Stigandiego nie tworzył prostych obrazów. W swoich wizjach i majakach pieśniarz widział łyse ptaki porywające woły, trolle przemierzające pustynię w kamiennych łódkach, oceany mgły i wielki most, a na nim smoka, który połykał podróżnych, spalał ich w swoich trzewiach i wydalał w postaci kupy popiołów.

Siarzysty policzek wyrwał go z otępienia. Znów patrzyły na niego małe czarne oczka zadaszone gęstymi zrośniętymi brwiami. Mężczyzna krzyczał przez chwilę, wymierzył Stigandiemu jeszcze dwa policzki, a potem odwiązał postronek od siodła i pociągnął niewolnika za sobą. Niemy poeta zorientował się, że dotarli do kolejnej oazy, większej jednak od poprzednich. Usłyszał, jak złodzieje pustyni nazwali ją ksarem. Usytuowana była u podnóża góry, a w jej centrum stał okazały dom z kamienia i kilka mniejszych zabudowań dla zwierząt, a także namioty dla wojowników. Ludzkie sadyby otaczał z trzech stron rozległy ogród składający się z rzędów palm daktylowych i figowców, a także kilku grządek sorgo, kęp trawy słoniowej i niewielkiego gaju oliwnego. Porwanego mężczyznę zalał przyjemny, orzeźwiający zapach zieleni, jakże inny od woni wielbłądziej skóry i ludzkiego potu, które towarzyszyły mu w dotychczasowej gehennie. Pomyślał, że jednak się mylił i zapewne minęli już ognisty Muspellsheim, by znaleźć się na samym krańcu świata, w rajskim ogrodzie, o jakim opowiadali kristmadowie. Tylko czy w takim miejscu powinno się smagać gości biczem po ple-

cach? Pisnąłby z bólu, jednak w swej upartości wyrzekł się nie tylko słów, ale i wszelkich odgłosów mogących wyrazić radość bądź cierpienie. Pewności nie miał, za co tym razem dostał, lecz założył, że nie powinien przystawać i gapić się na okolicę, gdy ciągnięto go do przodu.

Zaprowadzono go pod podłużną, kamienną wiatę o trzech ścianach i dachu z wysuszonych liści palmowych. Stał tam żółb, poidło i piętnaście wielbłądów. Wojownik z krzaczastymi brwiami wskazał mu miejsce w kącie, gdzie leżała brudna derka, po czym posłał go tam kopniakiem. Hadim nie miał dość siły w nogach, aby utrzymać równowagę, więc po krótkim nieporadnym biegu runął na pysk, ale wylądował całkiem miękko na materiale z wielbłądziej wełny. Serklandczyk przywiązał koniec powrozu do haka wbitego w ścianę, na pożegnanie znów kopnął pojmanego i wyszedł ze śmiechem na ustach. Stigandi podniósł się i na czworakach podszedł do kamiennego poidła. Na jego dnie chlupotała odrobina wody. Ze związanymi dłońmi nie mógł jej sięgnąć, wstał więc, nachylił się i jak zwierzę wychłęptał brudny płyn, który nie zasługiwał na miano wody. Ale zwierzęta nawet tych pomysł nie dały mu się napić do syta. Jeden z wielbłądów trącił go szyją, a potem naparł na niego bokiem i jeszcze kopnął tylną nogą, zmuszając Stigandiego do wycofania się na leże. Człowiek chwilowo uznał swoją porażkę, położył się na derce zapaskudzonej wysuszonymi odchodami i momentalnie zasnął.

Śnił mu się wisielec. Odziany w łachmany nieszczęśnik dyndał na gałęzi jesionu i kołysał się na wietrze tam i z powrotem niczym przejrzały owoc, który jednak nie spadał, albowiem z drzewem łączyła go gruba lina ze skóry wieloryba mogąca utrzymać na wodzy cały okręt, a co dopiero takiego chudzielca bez butów. Bose stopy wskazywały czarną ziemię, urodzajną i wilgotną, glebę, która tylko czekała na przyjęcie owocu, aby go wchłonać, pożywić i odrodzić, a jednak nic takiego nie nastąpiło. Mimo swojego pięknego sinego koloru trup nadal płaśał na wietrze, drwiąc sobie z kręgu życia i śmierci.

Obudził go bat i krzyk. Stigandi nie musiał nawet otwierać oczu, by upewnić się, że znów prześladowuje go bękart wielbłądzicy ze zrosniętymi brwiami, który obwołał się jego sahibem. Posłusznie wstał i dał się poprowadzić na powrozie jak zwierzę. Zajęty był myślami o swym śnie. Czy upominał się o niego Hangagud? Pan Powieszonych pewnie się dowiedział, że niemy pieśniarz wyrzekł się opieki Göllnira, a prze-

cież bogowie znani są z zawiści i podkradania sobie ofiarników. Kiedyś Stigandi był ulubieńcem Bitewnego Krzyku, dlatego jego boski brat tym mocniej cieszyłby się z pozyskania takiego wyznawcy. Czy sen był wskazówką? Poeta nie mógł sobie przypomnieć twarzy tego nieszczęśnika, ale im dłużej o niej myślał, tym bardziej widział w niej swoje oblicze. Sznur miał zawsze w pobliżu, więc zadanie sobie śmierci przez uduszenie nie nastęrczyłoby żadnych trudności. Każdy jednak wiedział, że Hangagudowi składali się w ofierze tylko ludzie przekłęci, a ich katusze wcale nie kończyły się wraz ze śmiercią.

Kolejne smagnięcie bata przywołało go do rzeczywistości. Znów był w ogrodzie, tym pięknym kawałku raju wyrwanym pustyni, wręcz niedorzecznie żywym i barwnym na tle otaczającej go jałowej żółci i szarości. Oprawca mówił coś, a nawet krzyczał, ale jego głos nadal brzmiał jak stękanie wielbłąda, więc Stigandi tylko skinął głową i udawał, że słucha. Musiało się to spodobać Serklandczykowi, bo ściągnął mu pętlę z szyi, zwinął linę i rozwiązał dłonie, a następnie wręczył mu motykę i wskazał na ziemię pod stopami. Należało kopać, a co, to zaraz się wyjaśniło, bo mężczyzna w błękicie wycelował palec w mieszczący się nieopodal zbiornik, który był do połowy wypełniony żółtawą wodą, taką samą jak w poidle, należało ją więc uznać za deszczówkę służącą do podlewania drzew i pojenia zwierząt. Najwyraźniej właścicielowi posiadłości zamarzyła się druga taka sadzawka.

Człowiek w błękicie oszedł, pozostawiając go pod opieką nadzorca. Banita zaczął kopać. Początkowo myślał, że wręczenie mu motyki zamiast szpadla to kolejna złośliwość jego pana, ale szybko się przekonał, że pracy nie dałoby się rozpocząć innym narzędziem. Ziemia była sucha i twarda, ledwo dawał radę wbić w nią żelźce kopaczki i pewnie potrzebowałby tygodni, jeśli nie miesięcy, żeby dotrzeć do warstwy bardziej gościnnej dla łopaty. Ukończenie całego zbiornika zajęłoby mu lata, zwłaszcza jeśli miałby to robić w pojedynkę. Nie groziło mu to jednak, bowiem zaraz do pracy przyłączyło się siedmiu innych niewolników. Trzech było Serklandczykami, pozostali musieli pochodzić z dalekiego południa, bo mieli czarną skórę. Wszyscy trzymali się z dala od Stigandiego, mądrze zakładając, że nie należy się przyjaźnić z ulubieńcem bicza ich pana. Nikt nie chciał nawet stać obok błędnego mężczyzny i nawet najślabszy spośród nich, cherlawy czarnoskóry starzec, patrzył na niego z pogardą.

Hadim z Północy, samotny nawet w tłumie wyrzutek, wbił motykę w ziemię, a potem znowu i znowu. Praca wydawała się nie mieć końca, a jej efekty były znikome. Pomyślał, że więcej dokonałoby stado wielbłądów, gdyby dreptało w tym miejscu przez ćwierć dnia. Nie narzekał jednak, bo już w Taghazie polubił wykonywanie prostych czynności. Nie musiał myśleć o celu i skutkach kopania, na barkach nie spoczywał mu ciężar podejmowania decyzji. Pocichę przynosił widok ogrodu. Z czasem dostrzegł, że to miejsce zawdzięczało swoją świetność pracy wielu pokoleń. Drzewa rosły w równych rzędach, co zdradzało, że zasadził je człowiek, a nie wiatr. Cały ogród oplatała sieć płytkich kanałów, które w porze mokrej napełniały się deszczówką. Ponieważ porę tę mieli dawno za sobą, kanały pozostawały suche, dlatego to niewolnicy podlewali drzewa wodą zaczerpniętą z głównego zbiornika. Przy największym budynku, w samym sercu ksaru, stała jeszcze studnia, której zawsze pilnował uzbrojony człowiek, bo jej cenne zasoby należały wyłącznie do właściciela majątku i to on przyznawał łaskę skosztowania czystej, chłodnej wody.

Stigandi trafił na kamień i trzonek motyki złamał mu się w dłoniach. Spojrzał na zakończony ostrymi kolcami fragment drzewca, który mógł posłużyć jako krótka włócznia, narzędzie do kłucia i paroszenia nadzorca. Poradziłby sobie z nim, bo choć umysł miał odrętwiał, ciało pamiętało, jak się zabija. Dłonie wprawnie chwyciły broń, zakreśliły nią i wykonały próbne pchnięcie. Jeden dobrze wymierzony cios i po walce. Oby trafił, bo na ponowienie ataku pewnie nie miałby już siły. Potem pobiegłby między drzewa i korzystając z ich osłony, dotarłby do stoku góry. Przy odrobinie szczęścia znalazłby jakąś grotę lub rozpadlinę i ukryłby się tam do wieczora. W nocy przekradłby się na pustynię i odszedł wystarczająco daleko od ksaru, aby o świecie nie dało się go dostrzec. Tylko co zrobiliby dalej? Przez trzy miesiące iść na północ, do Magribu? A może wybrać południe, gdzie według zapewnień Alego miały rosnąć wielkie lasy, a ziemia tętnić życiem? Na miał pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje i nie potrafiłby odnaleźć źródła wody, bez której nie wytrzymałby dnia w pełnym słońcu. Serklandzcy skąpili mu płynów, więc nieustannie czuł mniejsze bądź większe pragnienie. Nie. Ucieczka nie miała żadnego sensu i dobrze wiedzieli o tym nie tylko niewolnicy, ale i Serklandzcy. Strażnicy, którzy od czasu do czasu doglądali ich pracy, zawsze ustawiali się tak,

aby odgrodzić ich od centrum oazy, by w przypływie szaleństwa którzy z niewolników nie rzucił się na mieszkańców posiadłości lub nie nabrał ochoty na świeżą wodę ze studni bądź na zgromadzone w spichlerzach zapasy. Od strony pustyni nie pilnował ich nikt.

Bezczynność nie mogła trwać długo. Nadzorca zastępujący wojownika w błękitcie mniej gorliwie wypełniał swoje obowiązki, bo długo nie reagował na obijanie się Stigandiego, ale w końcu podszedł i smagnął go krótkim biczem przez plecy. Strażnik wskazał na złamane narzędzie i uderzył go ponownie. Uniósł dłoń do trzeciego razu, ale przerwał mu gwizdek oznaczający przerwę w pracy. Jeden z niewolników pracujących przy domu przyniósł im wiadro wody, której żółtawy kolor niezbitcie wskazywał, że zacerpnięto je ze zbiornika dla zwierząt i roślin. Oprawca z biczem dał mu spokój i pozwolił, żeby też się napił. Hadimowi z Północy przypadło ostatnie miejsce w kolejce, przeto gdy wiadro do niego trafiło, na dnie ledwo coś chlupotało i sporo czasu go kosztowało nabranie wody trzęsącymi się rękoma i żelazną chochelką, którą mu wręczono. Płyn śmierdział i smakował równie paskudnie, co w poidle, a trzewia podpowiadały niemowle, że picie tych szczyn spuszczonech na świat przez złośliwych bogów nie jest najlepszym pomysłem. Pragnienie jednak zwyciężyło, choć nim zdążył dopić zawartość chochelki, strażnik kopniakiem wytrącił mu ją z ręki, a gwizdek oznajmił koniec przerwy.

Niewolnicy wrócili do pracy, ale Stigandi podszedł tylko do złamanej motyki i wzruszył ramionami. To nie spodobało się Serklandczykowi. Jeździec pustyni dwa razy smagnął grymaśnika biczem, a potem zaczął go kopać po kostkach, aż ten padł na kolana. Następnie strażnik zagarnął nogą ułamaną część narzędzia, tę z żelezcem i trzecią częścią drzewca, i podsunął ją bladokóremu hadimowi pod nos. Niemy poeta zrozumiał, że przynajmniej dziś nie ma co liczyć na nową motykę i musi pracować tym, co mu zostało.

Przekłęta twarda skorupa. I cóż z tego, że na wierzchu miała cieńniętką warstwę piasku, którą odgarnąć mógł nawet wiatr? Trzonek narzędzia ledwo mieścił mu się w dłoniach, aby więc pracować, musiał nie tylko klęczeć, ale i się garbić, niemal bić czołem o ziemię, jak podczas modlitwy w świątyni maumentsan albo na audiencji u gardskonunga Miklagardu. Przed sobą nie miał jednak boga ani autokratora, ale owłosione stopy bękarta niemytej oślicy, tego w błękitnym

stroju i ze zrosniętymi brwiami, bowiem jego sahib znów wrócił, aby go prześladować. I śmiał się, i szydził, i krzyczał ten złodziej pustyni, choć dla Stigandiego jego słowa i odgłosy nadal brzmiały jak stękanie i pierdzenie wielbłąda.

Skald bez języka nosił strzępy ubrań, które nie chroniły przed otarciami. Już wcześniej doskwierały mu poharatane nogi i ręce, a teraz doszedł potworny ból pleców i pieczenie w mięśniach. Słońce, okrutne żółte oko, wisiało na niebie tylko po to, aby się nad nim znęcać. Bogini Sol smagała go swoimi złotymi lokami, a Allah zsyłał ogień na niewiernego. Na dłoniach pojawiły się bąble i zaraz pękły. Zemdlałby albo chociaż popadł w odrętwienie, jednak bicz ciągle mu przypominał, że żyje i ma się źle. Już wcześniej praca wydawała się bezcelowa, teraz stała się czystą udręką. Kopał, wydostawał kamienie, odstawiał je na bok i znów kopał, a właściwie tylko odrobinę spulchniał ziemię, bowiem dół nie pogłębił się nawet na dłoń. Inni niewolnicy, którzy mieli sprawne narzędzie i więcej sił, radzili sobie lepiej, choć i oni dostawali swoją porcję batów. Jeden z czarnoskórych chwycił się za brzuch i zwymiotował, potem wrócił do kopania, ponaglony biczem, ale w końcu padł bez przytomności i tak już został, obojętny na kopanie, szturchanie i życie.

Dzień dobiegał końca, gdy znów usłyszeli gwizdek. Stigandi spojrział w kierunku, skąd dochodziła kojąca muzyka oznaczająca przerwę, i ujrzał niewolnika niosącego wiadro. Tym razem w środku nie było wody, tylko zbożowa papka podlana wielbłądzim mlekiem. I znów przypadło mu ostatnie miejsce w kolejce, zostało więc dla niego ledwo pół chochli brei. Oczy podpowiadały mu, że papka smakuje ohydnie, ale o dziwo po spróbowaniu wydała mu się delikatna, pożywna, a co najważniejsze sycąca. Wylizał chochelkę do czysta i trzymał ją przy ustach, dopóki niewolnik nie wyszarpnął mu jej z ręki. Niemy pieśniarz wrócił na swoje stanowiska pracy, co strażnik i towarzysze niedoli przywitani śmiechem. Wieczorny posiłek oznaczał koniec dnia.

Niewolnicy ruszyli w stronę zabudowań. Nikt ich nie związał i tylko jeden strażnik odprowadził ich do chaty z błotnistych cegieł *banco*, w której mieli nocować. Z niemym pieśniarzem sprawa miała się inaczej. Łotr ze zrosniętymi brwiami zarzucił mu powróż na szyję i pociągnął za sobą. Może znęcał się nad nim z czystej złośliwości, a może zawsze mocniej pilnowano nowych niewolników, aby coś głupiego nie przyszło im do głowy? Tego Stigandi nie wiedział, ale w sumie dobrze,



że go prowadzono, bowiem wieczorami kiepsko widział. Wylądował pod znaną mu już wiatą. Oprawca popchnął go na posłanie, zaczepił koniec powrozu o hak wbity w ścianę i wyszedł. Tym razem przynajmniej nie związane mu dłoni, mógłby więc łatwo ściągnąć pętlę z szyi, przypomniał sobie jednak swój sen i coś mu powiedziało, aby tego nie robił. Napił się wody z poidła, znów dał się sponiewierać wielbłądom i runął na szmaty. „Błogosławiona niech będzie nicość” – pomyślał. Ogarnęła go czerń i wszystko wokół niego umarło, dając mu wreszcie odrobinę wytchnienia.

# 6

Podróżowali we trzech: Yahya, Tharbrand i Ali. Dzięki tak małemu oddziałowi przemieszczali się bardzo szybko. Spali głównie w południe, a rankami, wieczorami i nocami poganiali dromadery biczami. Nie musieli ich oszczędzać, bo na klanie Lamtuna zdobyli dodatkowo trzy wielbłądy, więc regularnie się przesiadali i nie męczyli zwierząt. Resztę swoich ludzi zostawili wraz z jeńcami oraz uwolnionymi niewolnikami i skierowali ich do Taghazy, aby pomogli w ponownym uruchomieniu kopalni soli.

Yahya był świetnym przewodnikiem – i nie chodziło tylko o odnajdowanie kierunku, który przecież każdy mógł łatwo wyznaczyć dzięki położeniu słońca lub gwiazd. Mały jeździec z ludu Sanhaja miał w głowie wszystkie trasy karawan i potrafił określić położenie ich oddziału na podstawie mijanego wzniesienia, formacji skalnej, a nawet samotnego głazu, na którym odnajdywał wyryte kreski i koła, oznaczenia znane tylko doświadczonym jeźdźcom pustyni. Podpowiedzi szukał nawet wśród skorpionów, węży i sępów, bowiem na podstawie ich liczby wnioskował, jak daleko od krańca pustyni się znajdowali. Na morzu piasku odnajdywał twarde grunty i bezbłędnie prowadził ich między wydhami. Kiedy krajobraz stał się bardziej szary i kamienisty, wskazywał im zacienione miejsca na odpoczynek, przede wszystkim zaś dbał o to, aby nie pomarli z pragnienia. Zdarzało się, że po czterech, pięciu dniach przemierzania pustkowi na dnie ich dzbanów i bukłaków ledwo coś chlupotało, lecz nim naczynia do końca się osuszyły, zawsze docierali do małej oazy zamieszkałej przez jedną rodzinę, samotnej studni otoczonej skalnym labiryntem bądź źródłem wypływającego spod głazu na stoku niewielkiej góry, gdzie mogli uzupełnić zapasy.

Niewiele rozmawiali, zatem Ali miał dużo czasu na zadreczanie się. Porzucił przyjaciela i źle się z tym czuł, choć przecież Ainar tak często się chwalił, że sam wykuwa swoje przeznaczenie na przekór pijanym normom. Ileż to razy pyszałek dawał mu do zrozumienia, że gardzi jego pomocą i troską? Nawet w ostatnich miesiącach swojej gehenny milczeniem i obojętnością zbywał jego opiekę. Teraz Skald miał to, czego

pragnął: był zdany tylko na siebie. Mimo wszystko Ali poprosił Yahyę, aby jego ludzie rozpuścili wieści i rozglądali się za białym niewolnikiem z Północy. Pierwszy Przewodnik wydał stosowne rozkazy jeźdźcom, którzy wrócili do Taghazy, ale też nie obrażał swego pracodawcy zapewnieniami o rychłym powodzeniu poszukiwań. Czarny Berserk miał tylko słabą nadzieję, że w drodze powrotnej do Magribu, kiedy znów zawita do kopalni soli, dowie się czegoś o przyjacielu.

Po trzech tygodniach od potyczki z łowcami niewolników odnaleźli swoją karawanę. Zauważyli i usłyszeli ją z daleka, bowiem wyglądała niczym ogromny wąż Bida wygrzewający cielsko na słońcu, a przy tym towarzyszył jej gwar kilkuset gardeł. Karawana stała, co źle wróżyło. Pogonili dromadery i gdy zbliżali się do ogona kupieckiego węża, na spotkanie wyjechało im sześciu jeźdźców z opuszczonymi włóczniami, co się chwaliło, ponieważ ostrożności nigdy dość, ale Yahya i tak na nich nawrzeszczał, że celują broń w Pierwszego Przewodnika i għana tej karawany. Ostatni odcinek drogi pokonali w towarzystwie zbrojnej eskorty, wyglądali więc dostojnie i groźnie, ale ich przybycie nie wywołało większego poruszenia od tego, które już panowało.

Blamad rozejrzał się i z każdą chwilą rosła w nim złość. Kochał porządek i starał się rządzić ludźmi sprawiedliwą, lecz twardą ręką, nie potrafił więc znieść rozprężenia, a przede wszystkim chaosu właściwego bazarom magrybskich miast, jaki tu zastał. Wielbłądy były rozkulbaczony i wałęsały się po piasku, a wiele tobołków, a nawet paczek z solnymi płytami leżało porozrzucanych między wydmami. Nikt nie pokładał namiotów, część z nich zostało także zerwanych, a ich strzepy wisiały na żerdziach. Na kamienistym trakcie niszczała bela zielonego sukna z Magribu, godna królewskiego dworu, a teraz niedbale rozwinięta, zdeptana przez wielbłądy i zapaskudzona odchodami. Przy skalnym stożku poniewierał się rozpruty worek prosa, a o rozsypane zboże walczyły trzy dromadery. Na żwirze marnowały się figi i daktyle, a wśród kamieni błyszczały tłuste od oliwy skorupy rozbitych dzbanów. W całym tym nieporządku najgorzej wyglądali ludzie w pogiętych tunikach i poplamionych burnusach, czyli długich płaszczach z kapturem charakterystycznych dla Sanhajów. Podróżnicy z podkrążonymi oczami i niedbale przewiązanymi ranami wrzeszczeli i kłócili się ze sobą. Jak wiele słów się tam marnowało. Wylatywały z ust i zabierały mówcom oddech oraz życiową siłę *nyama*, aby łączyć się w pary i wa-

tahy, walczyć ze sobą, spierać się i godzić, a najczęściej wybrzmiewać bez znaczenia. Ali nie zdołał wyłowić żadnej mądrości z tej paplaniny poganiaczy wielbłądów, kupców, sług i zwiadowców. Smagnął biczem, poganiając wielbłąda ku przodowi karawany.

Nie wszędzie było tak źle. Na niektórych odcinkach porządku pilnowali jeźdźcy z klanu Juddala i sarakeńscy wojownicy, których Ali znęcił w Magribie wizją wielkiego bogactwa. W środkowej części węża pustyni Czarny Achilles zastał jednak widok, który wiele mu powiedział o przyczynach zamieszania. Na marach leżało szesnaście pokiereszowanych ciał. Większość z nich należała do poganiaczy, ale wśród zabitych znalazł się też jeden kupiec oraz kilku wojowników. Imam, którego Czarny Berserk winem i złotem zmusił do wycieczki przez pustynię, odprawiał właśnie modły za poległych, kiwając się w przód i w tył, a trzej posługacze obmywali twarze i dłonie zabitych, aby ci stanęli czysti przed Allahem. Yahya musiał znać niektórych z tej grupy, gdyż wyraźnie wahał się, czy nie zejść z wielbłąda i nie zająć się swoimi ludźmi, ale zrezygnował z tego i pośpieszył za Alim.

Tymczasowy ośrodek dowodzenia znajdował się w okolicy szyi węża pustyni, pod płóciennym dachem rozciągniętym na czterech żerdziach. W cieniu tego prowizorycznego pałacu, na podeście zbudowanym ze skrzyń, rządził się Isa ibn Ishak, wyciągnięty na tkanym w pawie magribskim dywanie i jedwabnych poduszkach. Popijał wino ze srebrnego pucharu, jego wąsik i bródka jak zwykle były nienagannie przystryżone, głowę zdobiła satynowa czapeczka, przyodziewek bił po oczach pstrokatą zielenią i czerwienią, nawet stopy raziły przepychem zupełnie niepraktycznych pantofli, z których jeden był żółty, a drugi czarny. Przed nim, na niewielkim stoliku, stał miedziany dzban i miska daktyli, a przed podestem tłoczyli się na stojąco kupcy, jeźdźcy pustyni i Niegrzeczne Niedźwiadki, co groziło jego rychłym przewróceniem. Tak jak i w pozostałych częściach karawany kłócono się tu zawzięcie, a z ust wichrzycieli i protestujących spływał wodospad niepotrzebnych słów. O dziwo milczał natomiast Isa, na co dzień bardziej wygadany niż sarakeński bajarz z Magribu. Wspólnik Alego sączył wino, zachowując spokój i obojętność, jakby słuchał nad stawem rechotania żab. Na widok przybyszy odłożył puchar, wstał, rozłożył ręce, uklonił się i serdecznym głosem, który jakimś cudem przebił się przez wrzawę, powitał uch słowami:

– O wy, którzy wierzycie! Allah i jego aniołowie, a także dżiny pustyni, bogini Manat i wielki wąż Bida błogosławią ten dzień, bowiem powrócił nasz czarny ghan, władca wielbłądów i pan karawany, aby rozstrząść nasze spory i przywołać nas do jedności.

Zgromadzeni obejrzelisię na siedzącego na wielbłądzie Alego i zamilkli. Czarny Berserk zmusił dromadera, aby się uklonił i ukląkł na przednie, a potem na tylne kolana, umożliwiając jeźdźcowi dostojne zejście. To samo zrobili jego dwaj towarzysze. Ludzie rozstąpili się przed wygnańcem z Wagadou, który wkroczył w powstałą lukę, wspiął się na podest i stanął na dywanie obok Isy. Saraken wskazał mu poduszki, oddając mu miejsce, które i tak należało się przywódcy karawany, jednak czarnoskóry wojownik nie usiadł. Sprawa wyglądała na trudną do rozstrzygnięcia, więc Czarny Berserk wołał nad wszystkimi górować swoją sylwetką.

– Allah pobłogosławił mnie mądrym zastępcą, który grzał mi miejsce w namiocie i rządził w moim imieniu. Posłucham jego sprawozdania.

– Na świętą al-Kabę! – Ibn Ishak uniósł obie ręce i wskazał nimi na wschód. – Zaiste wspaniały jest władca, który łaskawym okiem spogląda na swego sługę i zawiera jego oczom i uszom. Nasz czarny ghan nie lubi niepotrzebnych słów, nie nadużywajmy więc jego cierpliwości i pośpieszmy mu z wyjaśnieniami. A stała się rzecz straszna, tak potworna, że sam książę dżinów musiał maczać w tym swe palce utkane z dymu i ognia. Nawet ja, skromny potomek Sasana, który zwiedził pół świata, od rana sączę wino, aby wspomnienia tych okropieństw choć trochę zatarły się w mej pamięci, jednak dla dobra naszej wspólnej sprawy wysilam umysł i znów mam je przed oczyma.

Zarządca schował twarz w dłoniach, a po chwili ją odstłonił, jakby właśnie przejrzał na nowo. Potrafił świetnie panować nad tłumem, bowiem pomimo przerwy nikt nie ośmielił się mu przerwać i nawet Ali złapał się na tym, że wyczekuje dalszej części opowieści. Isa wziął głęboki oddech i wskazał palcem przestrzeń dookoła.

– Nękają nas jeźdźcy pustyni, którzy mnie się jawią sługami samego iblisa, ale nasi zwiadowcy zapewniają, że mamy do czynienia z klanem Lamtuna, który jest zakałą dumnych Sanhajów. Odkąd czarny ghan opuścił swój lud, aby zająć się sprawami niedostępnymi maluczkiemu, dotknęły nas już cztery plagi. Te zawszone bękartki szalonych oślic kęsa nas nocami i pod osłoną ciemności zabijają pobożnych kupców i kradną

nasz dobytek. Ostatni, największy napad miał miejsce tej nocy. Zginęło dwunastu sprawiedliwych, ale Prorok pobłogosławił nasze miecze, dzięki czemu położyliśmy czterech łotrów. Niestety przepadło dziesięć wielbłądów i sporo dobra, a dodatkowo pięć zwierząt zginęło w napa-dzie. Och, jakże me serce roni krwawe łzy, gdy o tym myślę. Znow muszę zwilżyć me usta winem, ściągając na siebie groźbę potępienia wiecznego, ale cóż czynić, skoro życie doświadcza nas taką spiekotą?

Zgodnie z zapowiedzią Isa podniósł ze stołu puchar, opróżnił go i westchnął, jakby już tęsknił za kolejną porcją wina, jednak odłożył na-czynie, po czym przekreślił głowę w bok, uniósł podbródek i wpatrzył się w horyzont, próbując tam chyba znaleźć nowe pomysły na swoją paplaninę. Ali dawno już porzucił walkę z gadulstwem przyjaciela, bo choćby używał tylko słów zwięzłych i prawdziwych, a żadnych tyl-nych i bocznych, to i tak sprowokowałby jeszcze większą lawinę zdań z ust Sarakena. Lepiej było czekać, aż sam z siebie wszystko wyrzuci. Tymczasem inni skorzystali z milczenia Isy i zaczęli biadolić o swoich stratach. Aby znieść ten gwar, Ali wskazał na znajdujący się na stoliku dzban, a osobisty sługa Isy zniknął na moment, po czym wrócił z kie-lichem, napełnił go winem i podał czarnoskóremu wojownikowi. Jed-noręki opuścił litham pod brodę i pierwszym łykiem wypłukał z ust piasek, który przez ostatnie tygodnie nieustannie zgrzytał mu pod zę-bami i drażnił gardło. Przekłęte żółte drobinki potrafiły wleźć wszę-dzie, bez względu na to, jak grube ubranie się nosiło. Splunął do misy podstawionej mu przez niewolnika i znow się napił, tym razem po bo-żemu, czyli z przełykaniem. Dawno już nie kosztował tak zacnego trunku. Było to czerwone wino gronowe, prawdziwy rarytas w oce-anie wina palmowego, które wychylało się w tym regionie. Po smaku i zapachu poznał, że pochodziło z jego własnych zapasów. Wziął kilka beczek tego trunku, który miał być podarunkiem dla wielkiego ghana Wagadou. Nie powinni go pić. Nie po to bujali się z nim trzy mie-siące po pustyni, by teraz skończył na ich podniebieniach. Skoro jed-nak beczka została już otwarta, nie dało się ochronić wina przed ry-chłym zepsuciem i dalej przewozić można go już było tylko w brzu-chach. Współpraca z Isą miała swoją ceną.

Przemawiały do niego liczby, ponieważ im najbliżej do słów przed-nich, które nie dają się tak łatwo przekłamać wolą mówiącego. Zgro-madzeni tu kupcy i jego współpracownicy głównie się skarżyli, ale

też podali mu kilka istotnych wieści. Czarnoskóry wojownik notował je w głowie i obliczał straty. Magrib opuścili z tysiącem wielbłądów. Burza piaskowa zabrała dwieście zwierząt wraz ze sporym ładunkiem tkanin i żywności. W Taghazie jako zapłatę za sól i ochronę zostawili sto dromaderów, dwieście mieczy, osiemdziesiąt motyk, dziewięćdziesiąt toporów, sto prętów żelaza, dwadzieścia prętów miedzi, czterdzieści beli materiału, dziesięć dzbanów z oliwą, piętnaście worków suszonych owoców, dwieście świec i worek srebra. W napadach przepadło w sumie osiemnaście zwierząt oraz rozmaitych towarów, których wartość szacował na dwieście złotych dinarów. Do tego dochodziła utrata siedemdziesięciu dwóch ludzi, zaginionych podczas burzy piaskowej lub zmarłych w wyniku chorób, ukąszeń węży i skorpionów czy napadów Lamtunów. Po zsumowaniu okazywało się, że straty były do przyjęcia. Wciąż miał w karawanie prawie siedemset wielbłądów i ponad trzystu ludzi.

Isa w końcu porzucił gapienie się na horyzont i uniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Wszyscy sypimy nasze głowy piaskiem, albowiem przez nasze niedbalstwo czarny ghan stracił część swego bogactwa. Ma on pełne prawo złościć się na nas i oczekiwać zadośćuczynienia, zwłaszcza od naszych przewodników, których brzuchy i trzosi urosły dzięki szczodrości władcy wielbłądów.

– Czarny ghan jest dla nas łaskawy i my się mu odwdzięczamy wierną służbą – odezwał się Yahya. Pierwszy Zwiadowca zdążył się wmieszać między swoich ludzi, w lot zorientował się w sytuacji i od razu został ich orędownikiem. – W obronie jego majątku zginęło piętnastu naszych ludzi, natomiast zrabowane towary można odzyskać. Śladów rabusiów wciąż jeszcze nie zatarł wiatr, udajmy się więc w pościg.

– Czy słyszycie? – Isa przystawił sobie dłoń do ucha i zamilkł, aby wzbudzić ciekawość. – Oto głupota gra na bębnie. Opłaceni strażnicy nie chcą już obejmować nas swym zbrojnym ramieniem, ale pragną zostawić nas bezbronnych i odejść, by toczyć wojenki ze swymi pobratymcami.

Jak każdy wojownik o parszywym wzroście, również i Yahya był bardzo drażliwy i wyczulony na każdą obrazę. Przepchnął się do przodu i stanął tuż przy podeście, a następnie zamasztył i ostentacyjnym gestem położył dłoń na rękójści saifu, syjąc przy tym piasek z rękawa burnusa wprost na drogocenny dywan z Magribu,

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

